

Piotr Adamczyk
i Danuta Stenka
uhonorowani Nagrodą
im. Heleny
Modrzejewskiej w Los
Angeles



Reżyser Jerzy Antczak i aktor Piotr Adamczyk, fot. Maja Trochimczyk

Maja Trochimczyk (*Los Angeles*)

26 kwietnia 2025 roku w Beverly Hills znakomity aktor Piotr Adamczyk odebrał Nagrodę im. Heleny Modrzejewskiej przyznaną przez Klub Kultury im. Heleny Modrzejewskiej z Los Angeles za całokształt osiągnięć artystycznych. Wyróżniona została również wybitna aktorka Teatru Narodowego, Danuta Stenka, która niestety nie mogła być obecna na uroczystości.

W 2024 roku Klub przyznał Złotą Nagrodę reżyserowi Jerzemu Antczakowi. Tym razem Zarząd postanowił uhonorować parę gwiazd z jego filmu *Chopin. Pragnienie miłości* – Piotra Adamczyka, który wirtuozowsko wcielił się w Fryderyka Chopina oraz Danutę Stenkę, mistrzowską odtwórczynią roli George Sand. Dlatego podczas gali nie mogło zabraknąć samego Jerzego Antczaka, Honorowego Członka Klubu, a także motywów chopinowskich.

Część artystyczna obejmowała odczytanie fragmentów powieści Jerzego Antczaka *Serce Chopina, czyli węzeł gordyjski*, nad którą autor pracował przez blisko 70 lat. W recytacji wystąpili: Jerzy Antczak, Piotr Adamczyk oraz Katarzyna Śmiechowicz – aktorka, Wiceprezes Klubu i laureatka Nagrody im. Modrzejewskiej z 2022 roku. Punktem kulminacyjnym był dialog dwóch laureatów – aktora i reżysera – pełen anegdot z planu filmu, wspomnień o współpracy oraz refleksji o teatrze i kinie.

Jerzy Antczak zachwycił publiczność recytacją wierszy i fragmentów sztuk, wspominając początki swojej kariery oraz niedawno zmarłą żonę, legendarną Jadwigę Barańską – laureatkę Nagrody im. Modrzejewskiej z 2018 roku. Z kolei Piotr Adamczyk opowiadał m.in. o tym, jak błyskawicznie nauczył się gry na fortepianie do roli Chopina i jak harmonijnie układała się współpraca na planie.



Od lewej: prezes Klubu Maja Trochimczyk, Mikołaj Antczak, Jerzy Antczak, Konsul Mateusz Gmura, Piotr Adamczyk, wiceprezes Katarzyna Smiechowicz, fot. Chris Justin

Sylwetka laureata

Piotr Adamczyk to jeden z najbardziej wszechstronnych i rozpoznawalnych polskich aktorów swojego pokolenia.

Absolwent Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie i Brytyjsko-Amerykańskiej Akademii Teatralnej w Londynie, od lat z powodzeniem łączy działalność teatralną, filmową, radiową i dubbingową z międzynarodową karierą.

Dzięki temu postrzegany jest jako duchowy spadkobierca Heleny

Modrzejewskiej.

Światową sławę przyniosła mu rola Karola Wojtyły w międzynarodowej produkcji *Karol – człowiek, który został papieżem*, obejrzanej przez ponad 800 milionów widzów na całym świecie. Wielkie uznanie zdobył także jako Fryderyk Chopin w filmie Jerzego Antczaka. Jest laureatem wielu nagród przyznawanych w Polsce i za granicą, w tym Srebrnego Medalu „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” oraz „Małego Berła” im. Janusza Gajosa.

W ostatnich latach z powodzeniem rozwija karierę zagraniczną – zagrał w amerykańskich produkcjach *Hawkeye* (Marvel), *For All Mankind* (Apple TV+), *Night Sky* (Amazon Prime) czy *Projekt UFO* (Netflix). W Polsce stworzył niezapomniane kreacje m.in. w serialach *Prosta Sprawa* (Canal+), *Klara* (TVN Player) i *Idź przodem, bracie* (Netflix).

Piotr Adamczyk podkreślił, że jego aktorską dewizą jest wiarygodność:

Pragnę, by widz uwierzył w postać, którą gram – by poczuł jej emocje, poszedł za jej prawdą i dzięki temu dotknął swojej własnej. Najchętniej – tej niewygodnej.



Prezentacja Nagrody im. H. Modrzejewskiej, od lewej: Jerzy Antczak, Maja Trochimczyk i Piotr Adamczyk, fot. Roksana Smiechowicz

Danuta Stenka - nieobecna laureatka

Prezes Klubu Maja Trochimczyk przypomniała biogram Danuty Stenki. Aktorka zadebiutowała w 1984 roku i od tego czasu stworzyła wiele wybitnych ról teatralnych i filmowych, zdobywając ponad 30 nagród, w tym Srebrny Medal Gloria Artis. Na dużym ekranie zasłynęła m.in. rolami w *Chopin. Pragnienie miłości* (2002) i *Katyniu* (2007). W Teatrze Narodowym współpracowała z wybitnymi reżyserami, m.in. Robertem Wilsonem, Krzysztofem Warlikowskim i Mają Kleczewską.

Oficjalne gratulacje

Podczas gali Konsul Mateusz Gmura odczytał list gratulacyjny od Konsul Generalnej Pauliny Kapuścińskiej, podkreślającej wkład laureatów i Jerzego Antczaka w promocję polskiej kultury na świecie.



Od lewej: sekretarz Anna Sadowska, gospodarz wydarzenia Helena Kolodziej, Jerzy Antczak - honorowy członek Klubu i pierwszy laureat Złotej Nagrody, prezes Maja Trochimczyk, Piotr Adamczyk, wiceprezes Katarzyna Smiechowicz, fot. Roksana Smiechowicz

Organizacja wydarzenia

Wydarzenie odbyło się pod honorowym patronatem Konsulatu RP w Los Angeles, który stał się też głównym sponsorem obok

Centrum Polskiego w Los Angeles. Dodatkowe dotacje Klub otrzymał od Państwa Golema i Państwa Budny, a do druku program przygotowała Prezes Maja Trochimczyk i jej Moonrise Press. Nad przygotowaniem wydarzenia pracowali także Sekretarz Beata Czajkowska, Skarbnik Anna Sadowska oraz członkowie Klubu Chris Justin, Dominik LeConte i Łukasz Czerwczak.

Klub Kultury im. Heleny Modrzejewskiej - założony w 1971 roku przez aktora i reżysera Leonidasa Dudarew-Ossetyńskiego - od 2010 roku przyznaje nagrody imienia swojej patronki. Dotychczasowymi laureatami byli m.in. Jan Nowicki, Anna Dymna, Barbara Krafftówna, Jan Englert, Andrzej Seweryn, Marek Probosz i Jadwiga Barańska.



MODJESKA PRIZE 2024

*Presented on 26 April 2025 for Lifetime Achievement,
Success, & Service as Actor in Polish Film and Theater
to*

Piotr Adamczyk

by

Klub Kultury im. Heleny Modrzejewskiej w Los Angeles
Helena Modjeska Art & Culture Club in Los Angeles

*Anna Sadka Maja Trochimczyk
Katarzyna Smiechowicz
Beata Czajkowska*

Maja Trochimczyk, Prezes | Katarzyna Smiechowicz, Wiceprezes
Anna Sadowska, Skarbnik | Beata Czajkowska, Sekretarz





MODJESKA PRIZES

Piotr Adamczyk

Danuta Stenka

SERCE CHOPINA

Jerzy Antczak

Sobota, 26 kwietnia 2025 r. godz. 18.00
Rezydencja Państwa Heleny & Stanley Kołodziej
Beverly Hills, Kalifornia

*

Zobacz też:

Złote nagrody za całokształt osiągnięć artystycznych dla reżyserów – Jacka Bromskiego i Jerzego Antczaka w Los Angeles.

Katarzyna A. Śmiechowicz i Marek Probosz laureatami
Nagrody im. Heleny Modrzejewskiej 2022

Andrzej Seweryn laureatem nagrody im. Heleny
Modrzejewskiej w Los Angeles

Cineteca Nacional
w Meksyku – raj
na ziemi dla

kinomanów



Nowoczesny budynek Cineteca Nacional w Mexico City, fot. arch. „Cineteca Nacional”

Andrzej Żurek (*Kanada*)

Dziesięć sal projekcyjnych, muzeum kina, potężne archiwum filmów meksykańskich i zagranicznych (12 000 filmów), pracownia konserwacji i digitalizacji filmów, rozległa księgarnia z bogatym wyborem książek, sale wystawowe, restauracje, kafejki, w programie klasyka filmowa i wyselekcjonowane nowe

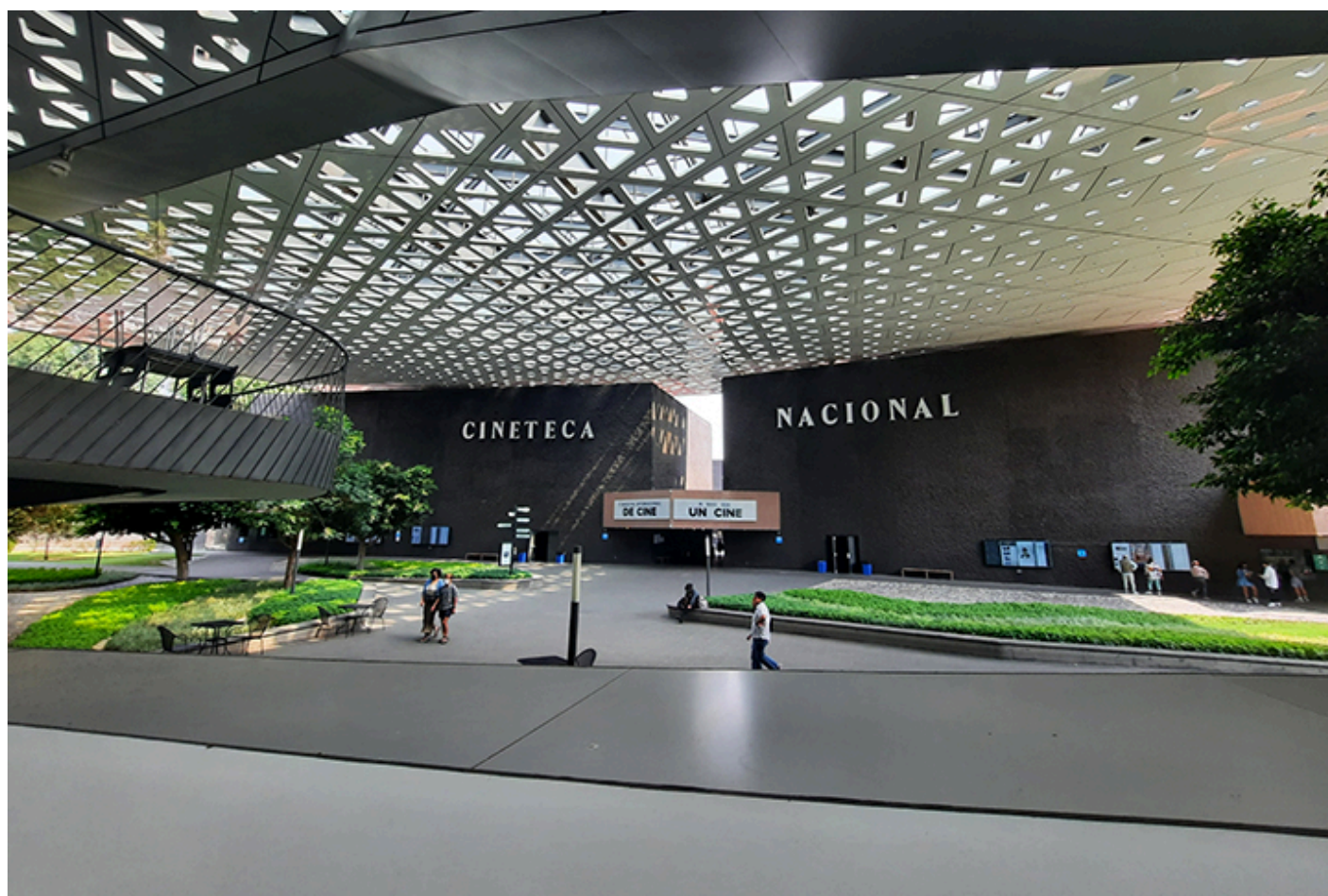
filmy z całego świata, fabularne i dokumentalne, różne cykle tematyczne, retrospektywy wielkich reżyserów, spotkania z twórcami filmowymi, tydzień lub dwa tygodnie kina francuskiego, japońskiego, meksykańskiego, nordyckiego, brazylijskiego, irańskiego, polskiego, filmy nowych reżyserów, doroczny przegląd kina meksykańskiego i światowego, filmy nowych reżyserek itd. Wieczorem bezpłatne pokazy filmów wyświetlanych na ekranie umieszczonym na jednej ze ścian kompleksu - przed nią wielki trawnik jako widownia.

Polecam krótki dokument filmowy sprzed kilku lat - <https://youtu.be/OKGaolTNJ9w> - o wystawie plakatów do filmów Andrzeja Wajdy oraz jego rysunków w sali wystawowej *Cineteca Nacional*, zorganizowanej z okazji retrospektywy jego twórczości (18 filmów).

- W Meksyku? - dziwią się znajomi Kanadyjczycy i Polacy (mieszkam w Kanadzie), kiedy opowiadam im o *Cineteca Nacional*. Odpowiadam, że Meksyk jest potęgą w kulturze (ale żeby o tym wiedzieć, nie można się ograniczać do telewizyjnych *news*, a w podróżach do tego kraju do *beach resorts* i kilku miast Majów na Yucatanie). I dodaję, nie licząc się z konsekwencjami, że miasto Meksyk jest jedną z pięciu, sześciu światowych stolic kultury.

Opisałem główną siedzibę meksykańskiej *Cineteca Nacional*,

czyli kinoteki narodowej, w kolonii Xoco miasta Meksyk, zwaną od czasu zakończenia w 2014 r. modernizacji *Cineteca Nacional Siglo XXI* (dwudziestego pierwszego wieku). W tej samej części stolicy powstał drugi kompleks *Cineteca Nacional*, o nazwie *Cineteca Nacional de las Artes*, z dwunastoma salami projekcyjnymi, a na terenie słynnego parku Bosque de Chapultepec otwarto w zeszłym roku trzeci, o nazwie *Cineteca Nacional Chapultepec*, z dziesięcioma salami projekcyjnymi. Powstały w nim ośrodek szkolenia oferuje bezpłatne studia filmowe. Wszystkie te kompleksy zostały zaprojektowane przez jednych z najlepszych architektów.



Cineteca Nacional, fot. arch. Cineteca Nacional

- Meksykańskich? - Meksykańskich. Meksyk ma znakomitych architektów. Kto tę, imponującą rozmachem, instytucję stworzył i kto ją finansuje? *Secretaría de Cultura*, czyli meksykańskie ministerstwo kultury. *Cineteca Nacional* powstała w 1974 r.; od tamtego czasu przeszła wiele zmian, ale na szczęście nie zwabia do siebie sesjami zdjęciowymi „na ścianie” i czerwonym dywanem. Meksykańskie ministerstwo kultury dba też o małe niezależne kina. Na jednej z jego stron internetowych znalazłem informację o bodaj najstarszym takim kinie stolicy, o *Casa del Cine*, domu kina, „alternatywnym miejscu przybliżającym publiczności siódmą sztukę i szerzącym wiedzę o procesie powstawania filmów”. W programie tego kina i innych, podobnych do niego kin w stolicy, przypominających polskie DKF-y, jest klasyka oraz nowe niekomercyjne filmy meksykańskie i zagraniczne.

Popularyzacją kina artystycznego, meksykańskiego i światowego, zajmuje się też UNAM (od lat 1940., od Złotej Epoki kina meksykańskiego), czyli *Universidad Nacional Autónoma de México*, jeden z największych uniwersytetów świata (ponad 300 000 studentów i 30 000 profesorów i asystentów); jego główna siedziba to miasto w mieście, ze słynną salą koncertową Nezahualcóyotl, salami teatralnymi i kinowymi, z jednym z dwóch muzeów sztuki współczesnej funkcjonujących w stolicy i szeregiem innych instytucji kultury. Uniwersytety tradycyjnie zajmują się i kinem, UNAM czyni to na wielką skalę, korzystając

z pomocy *Cineteca Nacional*: obok pokazów współczesnego kina, spotkań z reżyserami meksykańskimi i zagranicznymi i retrospektyw ich twórczości, każdego roku organizuje w stolicy międzynarodowy festiwal filmowy FICUNAM – *Festival Internacional de Cine UNAM*, z nagrodami w kilku kategoriach.



Cineteca Nacional, fot. arch. Cineteca Nacional

W każdym dużym mieście Meksyku są kina, które prezentują klasykę filmową i nowe niekomercyjne filmy meksykańskie i zagraniczne oraz organizują każdego roku z pomocą *Cineteca Nacional* przegląd kina światowego – *Muestra Internacional de Cine*. Filmy Ceylana, Iñárritu i Kechiche oglądałem po raz

pierwszy podczas takich przeglądów w pięknym Teatro Macedonia Alcalá w Oaxace de Juárez, filmy Farhadiego i Zwiagincewa w Cine Teatro Morelos w Cuernavace, tamtejszym *cinema paradiso*. W Oaxace de Juárez i w Cuernavace oglądałem stare filmy meksykańskie, hiszpańskie i włoskie w knajpkach „dla swoich”: pięć, sześć stolików, na ścianach obrazy miejscowych artystów, raz lub dwa razy w tygodniu pokaz filmu na małym ekranie, późnym wieczorem gra, lub gra i śpiewa, miejscowy muzyk, najczęściej gitarzysta lub gitarzystka. Podczas kilkumiesięcznego pobytu w Puebli często chodziłem wieczorem na darmowe pokazy światowej klasyki filmowej (raj dla licealistów i studentów) w małym kinie na czwartym piętrze budynku urzędu miejskiego. Obejrzałem w nim po raz enty w życiu „Los Olvidados”, „Popiół i diament”, „Wieczór kuglarzy”, „Noce Cabirii” i „Powiększenie”. Tygodniowe programy tego kina (każdego dnia inny film) wpadają w ręce w restauracjach i kafejkach centrum i w instytucjach kultury.

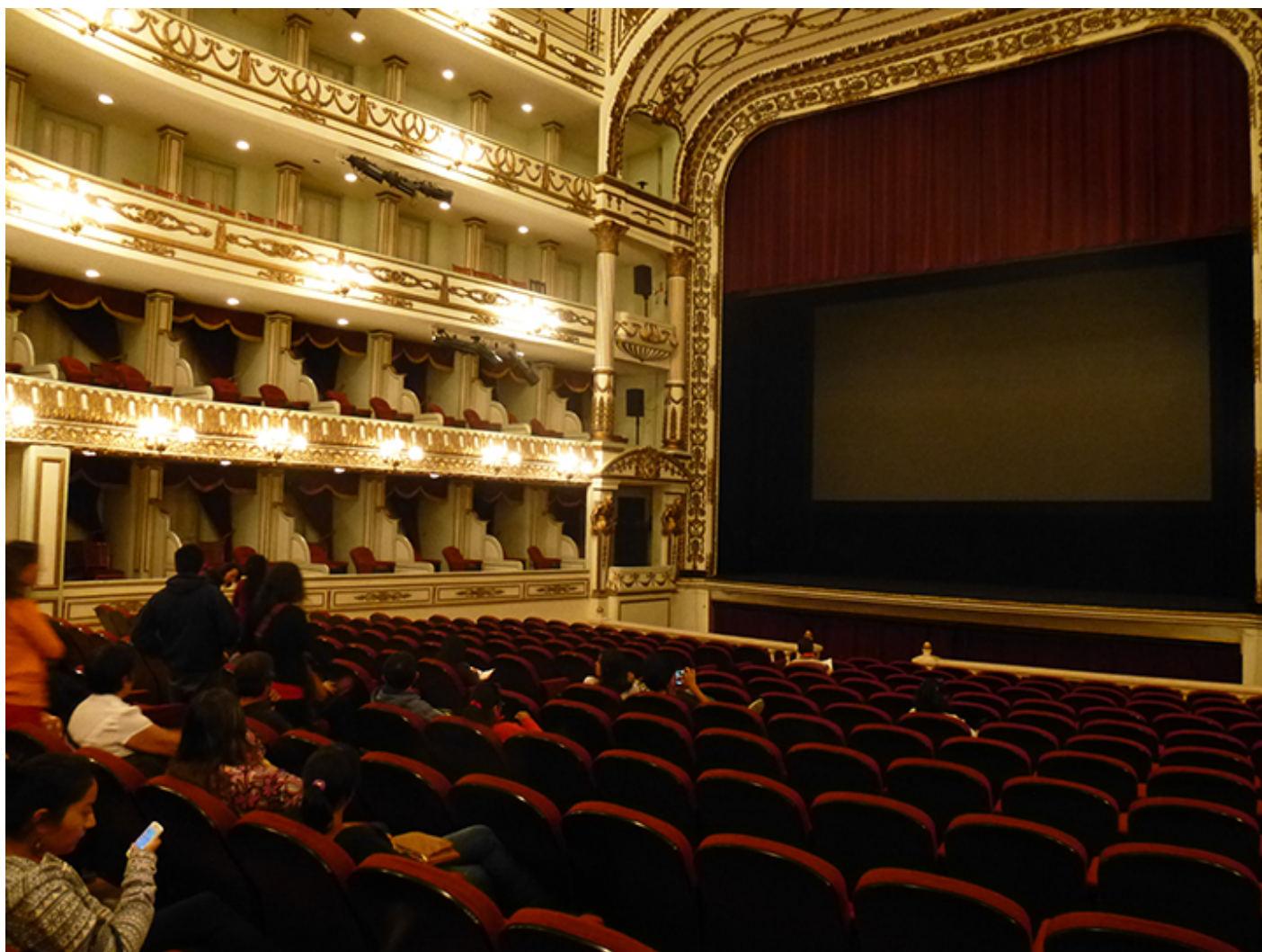
Wspomniałem o dwóch festiwalach filmowych w Meksyku, a jest jeszcze wiele innych. Najważniejszym dla kina iberoamerykańskiego jest FICG - *Festival Internacional de Cine* w Guadalajarze- organizowany przez kilka stanowych instytucji kulturalnych i Uniwersytet Guadalajary, najstarszy i największy uniwersytet tego miasta. Ten doroczny festiwal, z nagrodami w kilku kategoriach, prezentuje najnowsze dokonania filmowe krajów Ameryki Łacińskiej oraz Hiszpanii i Portugalii. Kilka

meksykańskich festiwalu przedstawia kino niezależne, kilka filmy dokumentalne, kilka rdzenne kultury kraju. Wprawdzie, jak chyba wszędzie, króluje w Meksyku kino komercyjne, głównie hollywoodzkie, ale jest w tym kraju wyjątkowo dużo miejsca dla kina artystycznego, własnego i zagranicznego. I szerzej, dla całej kultury wysokiej. Jej upowszechnianiu służy między innymi telewizyjny *Canal 22*, finansowany przez ministerstwo kultury, czyli przez państwo. Część programu tego kanału poświęcona jest kinu meksykańskiemu i światowemu.



Budynek Cine Teatro Morelos w Cuernavaca, fot. Andrzej Żurek

Polska kinematografia była prezentowana już wiele razy przez meksykańską Kinotekę Narodową i przez UNAM. Polskie kino jest znane i popularne, kilka razy przypadkowi rozmówcy, zorientowawszy się, że jestem Polakiem, wspominali filmy Wajdy, Zanussiego, Kieślowskiego, Hasa i Munka. Tego samego doświadczałem w Buenos Aires. Uogólnienia są ryzykowne, ale z mojego doświadczenia i lektur wynika, że wykształceni Meksykanie i Argentyńczycy bardziej się interesują tak zwanym szerokim światem niż Kanadyjczycy i Amerykanie. Dwadzieścia lat temu w Buenos Aires, w trakcie towarzyskiego spotkania, dwaj *porteños* opowiadali mi o polskim filmie, o polskim plakacie, o polskich kompozytorach, o teatrze Kantora, o Miłoszu, Herbercie i Gombrowiczu. Kiedy dziwiłem się, skąd to wszystko wiedzą, oni dziwili się, że się dziwię – tak jakby rzeczy, o których mi opowiadali, były powszechnie znane (oczywiście ich wiedza nie ograniczała się do Polski). Moje zdziwienie było tym większe, że jeden z nich skończył politologię, a drugi ekonomię – a nie kulturoznawstwo, slawistykę czy studia artystyczne. Potem kilka razy przeżyłem podobne zaskoczenie, między innymi w La Paz, w Boliwii. „Papa polaco!” – wykrzykują radośnie mieszkańcy krajów Ameryki Łacińskiej, spotykając w swoim kraju Polaka, ale wielu z nich Polska kojarzy się nie tylko z popularnym papieżem, Wałęsą i kilkoma piłkarzami. W rozmowach z tymi o szerszej wiedzy wspólnym gruntem jest w pierwszym rzędzie kino.



Wnętrze Teatro Macedonio Alcalá w Oaxace de Juárez, fot. Andrzej Żurek

Miłośników sztuki filmowej znających choć trochę hiszpański i gotowych polecieć do stolicy Meksyku na kilka tygodni lub miesięcy, aby codziennie spędzać kilka godzin w głównym kompleksie *Cineteca Nacional*, w kolonii Xoco, zachęcam do znalezienia mieszkania lub pokoju w historycznej części dzielnicy Coyoacán po drugiej stronie pobliskiej Avenida Río Churubusco. W niej między innymi *Museo Frida Kahlo*, *Museo Casa de León Trocky*, *Museo Nacional de Culturas Populares*, jedne z najstarszych kościołów stolicy i *Casa de la Malinche*, dom

indiańskiej tłumaczki i kochanki Hernána Cortésa. Może po wielu wędrówkach po historii brukowanymi ulicami i uliczkami, wizytach w kafejkach i starych *cantinas* i seansach w pobliskiej *Cineteca Nacional* powstanie po powrocie do kraju scenariusz nostalgicznego filmu o nazwie... „Zeszłego roku w Coyoacán”? (Podobieństwo do tytułu znanego filmu francuskiego przypadkowe).

Anna Maria

Mickiewicz – 40 lat

pracy twórczej



Anna Maria Mickiewicz podczas swojego Jubileuszu w Domu Literatury w Warszawie, fot. Tomasz Mickiewicz
Juliusz Bolek

Anna Maria Mickiewicz – polska pisarka, prowadząca wydawnictwo *Literary Waves Publishing* w Londynie. Od lat mieszkająca w Zjednoczonym Królestwie Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej, uczestniczyła w uroczystej gali, z okazji 40-lecia pracy twórczej, na które przyjechała prosto z Londynu, w którym mieszka od wielu lat. Wydarzenie odbyło się w legendarnej auli Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, w maju 2025 roku.

Jak wyglądają ważne wydarzenia literackie w Polsce mniej więcej wiadomo. Publiczność łaskawa i zmanierowana, dumna ze swej

łaski zaszczytowania autorów, jednak bywa roszczeniowa. Zupełnie inaczej sytuacja wygląda na tak zwanym Zachodzie, gdzie każde wydarzenie literackie budzi zainteresowanie i szacunek. Wstęp przeważnie jest płatny, podobnie jak książki. Jednym słowem, jak zwykle, między „zachodem” i „wschodem” – przepaść.

Przykro to przyznać Polacy mało wiedzą o współczesnej, światowej literaturze, jeszcze mniej o współczesnych pisarzach, jeśli ich posty nie biją rekordów „klikalności” w Internecie, książki nie znajdują się na czołówkach list rankingowych, a jeszcze mniej wiedzą, jeśli chodzi o polskich pisarzy, mieszkających za granicą państwa. Wśród mało znanych opinii publicznej autorek w kraju jest wybitna poetka Anna Maria Mickiewicz. Dzieje się tak, mimo tego, że pisarka publikuje również książki w Polsce. Jej poezja jest delikatna, wzruszająca, bardzo osobista, wręcz intymna. Z okazji 40-lecia pracy twórczej Anna Maria Mickiewicz, o jej istnienie i wyjątkową twórczość upomniało się Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Żywię głęboką nadzieję, że jubileusz Anny Marii Mickiewicz, celebrowany w Domu Literatury w Warszawie, sprawił, że więcej osób zainteresuje się tą oryginalną twórczością, z korzyścią dla nich samych.

Co prawda, Anna Maria Mickiewicz jest polską autorką, ale od lat mieszkającą, tworzącą i publikującą na tak zwanym „Zachodzie”. Wydarzenie dotyczące jej 40-lecia odbyło się w

Warszawie, czyli na tak zwanym „Wschodzie”. Dlatego ogromnie byłem ciekaw jak uroczystość zostanie zorganizowana.



Jubileusz Anny Marii Mickiewicz w Domu Literatury w Warszawie, od lewej: prof. Halina Rarot, prof. Anna Nasiłowska, aktor Andrzej Ferenc, fot. Tomasz Mickiewicz
Galę Anny Marii Mickiewicz zorganizował Oddział Warszawski Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Bardzo interesujące laudacje na rzecz twórczości pisarki wygłosiły prof. Halina Rarot (filozofka) i prof. Ewa Lewandowska-Tarasiuk (filozofka,

polonistka, profesor i członkini Senatu Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie (PUNO) w Londynie).

Spotkanie poprowadziła prof. Anna Krystyna Nasiłowska-Rek – pisarka, poetka, krytyk literacki, historyk literatury współczesnej, profesor nauk humanistycznych, profesor zwyczajny Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk i prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Wiersze Anny Marii Mickiewicz w rewelacyjny sposób przedstawił Andrzej Ferenc. Na zakończenie części oficjalnej odbył się wspaniały koncert Akademickiego Kwartetu Smyczkowego *Ucho Beethovena* pod kierunkiem Adama Pietruszki.

Uroczystość stała się przeżyciem zarówno duchowym jak i intelektualnym. Sprawiała to twórczość pisarki, świetna interpretacja poezji w wykonaniu Andrzeja Ferenc, bardzo ciekawe wypowiedzi na temat pisarstwa autorki, wygłoszone przez prof. Halinę Rarot i prof. Ewę Lewandowską-Tarasiuk oraz uczta dla słuchu w wykonaniu Akademickiego Kwartetu Smyczkowego. Całość stanowiła świetną kompozycję.

Po zakończeniu części oficjalnej goście zaproszeni zostali na bankiet, podczas którego poza pysznymi przekąskami i napojami, królowała bardzo miła, serdeczna i bezpretensjonalna atmosfera;

rzadko spotykana w warszawskich salonach.

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich /Oddział Warszawa

serdecznie zaprasza

na jubileuszowy wieczór z
okazji 40. rocznicy literackiego
debiutu autorki z Londynu

Anny Marii Mickiewicz

Dom Literatury, Warszawa,
Krakowskie Przedmieście 87/89



Prowadzenie
prof. Anna Nasiłowska

Wystąpienia
prof. Halina Rarot
prof. Ewa Lewandowska-Tarasiuk

Wiersze zaprezentuje
Andrzej Ferenc

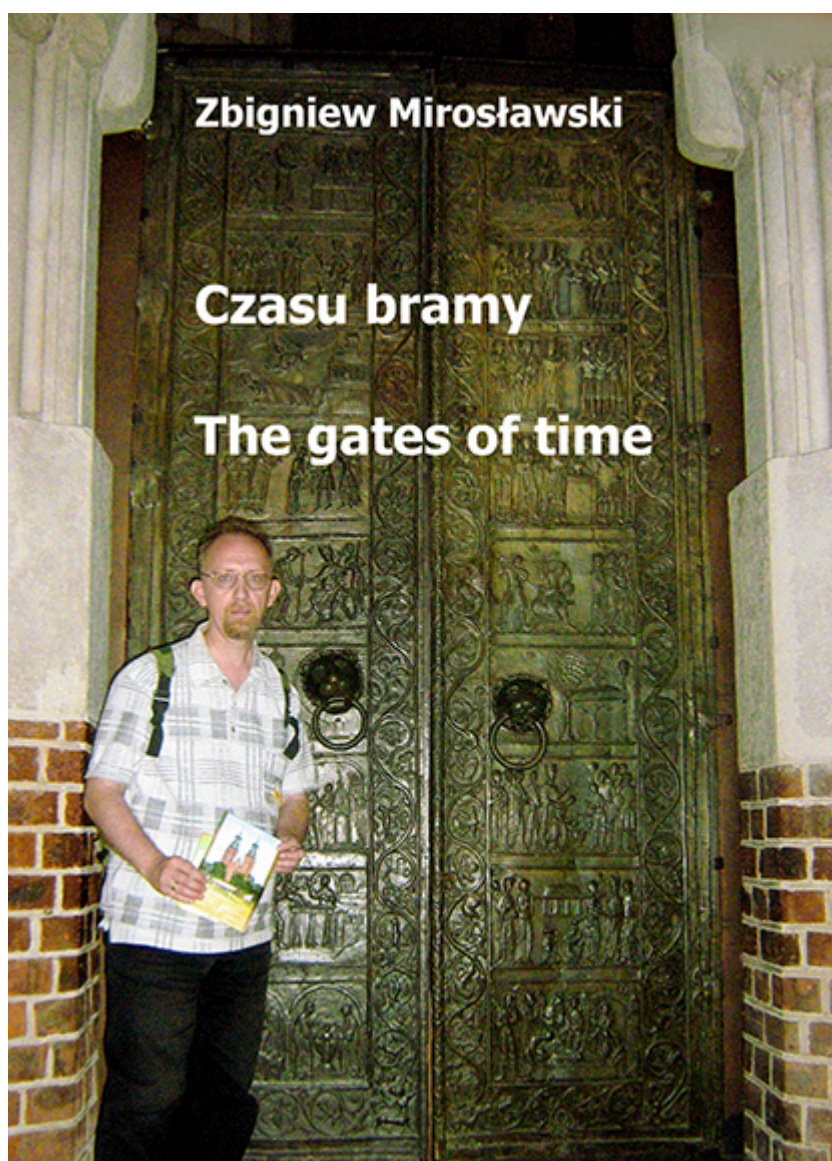
Koncert
Akademickiego Kwartetu
Smyczkowego Ucho Beethovena
pod kierunkiem Adama Pietruszki

20 maja 2025 r. godz. 18.00

„Czasu bramy”

Poetycki traktat Zbigniewa Mirosławskiego o trwaniu, przemijaniu i nieśmiertelności słowa

*



*

Withkacy Zaborniak

Z twórczością Zbigniewa Mirosławskiego obcuje od wielu lat. Posiadam kilka jego tomików i z każdym kolejnym sięgnięciem do tych kart czuję się zaproszony nie tylko do świata poety, ale także do świata bardziej uważnego istnienia. Gdy zapoznałem się ze zbiorem, towarzyszył mi pewien rodzaj wewnętrznego drżenia — czy zdołam sprostać głębi, skupieniu i duchowej ciszy, którą niesie ta poezja? Lecz to właśnie ona, *ta książka*, otworzyła mnie na coś więcej niż lekturę. Dlatego z dużym szacunkiem, ale i z osobistym zaangażowaniem podjąłem się napisania recenzji.

Zbigniew Mirosławski w tomiku „Czasu bramy” tworzy nie tyle zbiór liryków, co wielowarstwowy traktat egzystencjalny - zapisany nie atramentem, lecz pamięcią, czułością i nieustającym dialogiem z tym, co było, co trwa i co dopiero przyjdzie. To poezja, która otwiera drzwi: do przeszłości i do nieskończoności - w przestrzeni historycznej, duchowej i osobistej.

To, co od razu uderza, to świadomość istnienia jako zadania. Mirosławski nie ucieka w konstrukcję podmiotu lirycznego oderwanego od rzeczywistości - wręcz przeciwnie, ugruntowuje się w konkretnym miejscu i czasie. A jednak jego głos wybrzmiewa jakby z innej epoki - zanurzony w refleksji, pozbawiony pośpiechu, a jednocześnie przesycony pilnością mówienia o tym, co znika. Autor nie afiszuje się z osobistą

tragedią czy manifestem – raczej wyciąga dłoń w stronę czytelnika, jakby mówił: *zobacz, to wszystko było i wciąż jest.*

Już w pierwszym wierszu, otwierającym zbiór, odnajdujemy jego duchowy portret:

Nasz dom wyrasta szumem traw, jego ściany to fale rozkołysane w nurcie rzeki oszalałej. [...] uciekamy pomilczeń w szczerę pola.

Nie chodzi tu tylko o opis rzeczywistości – raczej o sposób bycia w świecie, który opiera się na kontemplacji, czułości i przeczuciu obecności „czegoś więcej”. Ten wiersz wprowadza podstawowy temat zbioru – dom, jako symbol wspólnoty i metafizyki. Dom to nie ściany, lecz pamięć, relacja i coś, co przetrwa nawet, jeśli zniknie z powierzchni ziemi.

Struktura zbioru „Czasu bramy” układa się jak mapa wspomnień i miejsc świętych: Kraków, Uniwersytet Jagielloński, dom rodzinny, wojskowe wspomnienia, Nowa Huta – wszystko to splecione nie chronologią, lecz wewnętrzną logiką doświadczenia. Wiersze nie są tylko rejestrami przeżyć – są opowieściami z innego wymiaru, w którym czas nie biegnie liniowo. Daty – jak *Maj 1926* czy *13 grudnia 1981* – nie są tu faktami historycznymi, lecz znakami bram, przez które przechodzi pamięć. Tomik ułożony jest jak liturgia wspomnień. Dedykacje, rozmowy z postaciami z przeszłości, listy – wszystko

to buduje spójną narrację duchową.

Nie sposób nie zauważyć, jak ważną rolę w całym tomie odgrywa forma – nie tylko treść, ale i sposób jej podania. Znajdziemy tu zarówno wiersze wolne, jak i klasyczne formy sonetowe.

Obecność przekładów sonetów Szekspira, wykonanych przez samego poetę, to wyraz nie tylko kunsztu, ale i głębokiego dialogu z tradycją. Dzięki temu zbiór „Czasu bramy” zyskuje jeszcze jeden wymiar – pomost pomiędzy współczesnością a wiecznością poetyckiej formy.

Ważnym, często niedocenianym aspektem tego tomu jest jego dwujęzyczność. Obecność tłumaczeń na język angielski nie tylko czyni tę poezję dostępną dla szerszego kręgu odbiorców, ale także uwypukla jej uniwersalność. Tłumaczenia, przygotowane z wyczuciem i poszanowaniem oryginału, otwierają „Czasu bramy” na świat – bez utraty wewnętrznego rytmu, bez zdrady ciszy, którą te wersy niosą.

W wierszu „Ja tu gadam z kamieniem każdym” odnajdujemy istotę tej struktury:

kamień wie – przetrwa, ja, nie jestem pewien.

To forma ciągłego pytania o miejsce człowieka w świecie, który przemija. Mirosławski buduje kompozycję opartą na powrotach,

rytmie oddechu i cieniach zdarzeń. Przeszłość nie jest tłem – to żywa tkanka, przez którą prześwituje teraźniejszość i lęk o przyszłość. Tytułowy „czas” to nie tylko kategoria chronologiczna, lecz również pojęcie duchowe – czas duszy, pamięci, odwagi, czas stawania się.

Mirosławski jest malarzem pejzaży duszy i miejsc. Obrazy, którymi się posługuje, nie są oderwane od rzeczywistości – wręcz przeciwnie, wychodzą z codzienności, by dotknąć sacrum. Jego metafory są miękkie, rozłożyste, nie efektowne, ale skutecznie wprowadzające czytelnika w wymiar głębszego widzenia. W tej poezji każdy obraz ma wagę – nie tylko estetyczną, ale i duchową. Obrazy nie są ozdobą, lecz znakiem obecności.

Poezja Mirosławskiego przepełniona jest odniesieniami do malarstwa, które staje się nie tylko inspiracją, lecz formą dialogu. W „Według Goyi” kot, który *ślepia utkwivszy w gardle, szuka się do skoku* – jest obrazem niepokoju śnionego w ciemnościach istnienia. W „Malarstwie” poeta przywołuje van Gogha, Chagalla, Wita Stwosza, traktując ich dzieła jak lustra duszy. To sztuka jako forma przetrwania, jako kod pamięci i wyobraźni. Współobecność tych wielkich twórców czyni z tomu duchowy traktat o sztuce jako schronieniu i źródle sensu.

Tematycznie tomik obejmuje spektrum od codziennych rytuałów po narodową traumę. To poezja konkretności i uniwersalności –

przemijanie, utrata, miłość, historia, duchowość. Potrafi z aktu zmywania filiżanek uczynić liturgię:

*Rząd czystych filiżanek, jakby zęby w uśmiechu ktoś szczerzył...
[...] Strumień wody i już po kłopotach.*

Wątki polityczne, jak w „Maj 1926” czy „Radiowe melodie nocą”, nie są ideologią – są dramatem sumienia. Autor nie moralizuje, ale przypomina, że historia to także biografia porażek i krzywd, które nigdy nie zostały opowiedziane do końca. W jego wersach można odnaleźć gorzką lekcję pamięci zbiorowej i pytanie: co po nas pozostanie? Poezja staje się świadectwem, kroniką ducha, który przetrwał przez prawdę – nawet tę gorzką.

Styl Mirosławskiego cechuje oszczędność, celowość, klarowność. To poezja przejrzysta, nie uproszczona. Jej rytm nie wynika z metrum – wynika z oddechu duszy, z milczenia między wersami, które mówi więcej niż krzyk. W „Rozpoznaniu”:

Nie boję się lustra. Zdecydowałem się być sobą do końca.

To nie tylko deklaracja – to wyznanie. Autor pisze tak, jakby każda linia była ocaleniem prawdy. Ten minimalizm językowy niesie maksymalne emocje – to siła oszczędności, nie ubóstwa. Język staje się tu narzędziem dotyku – do wnętrza świata i wnętrza człowieka.

Duchowość tej poezji nie jest religijna w sensie dogmatycznym. To duchowość obecności, przemiany, śmierci i trwania. Odwołania do Goyi, Szekspira, Rilkego, van Gogha, Sartre'a czy Wita Stwosza nie są tylko cytataми – to duchowi patroni tej książki. W „Sonetach dla Orfeusza” Mirosławski odsłania jedną z najważniejszych bram sensu:

On Nieśmiertelnym posłem, który trzyma szeroko Wrota Śmierci otwarte.

To oczywista aluzja do mitologii greckiej – Orfeusza jako archetypu poety-przewodnika, który zstępuje do Hadesu. Właśnie taką funkcję pełni poeta w tym tomie – przewodnika po śladach istnienia. Starożytność, choć subtelnie obecna, jest fundamentem metaforycznym – szczególnie w sensie myślenia o przejściu, o bramie, o czasie jako zjawisku cyklicznym. Słowo, które przenika wiersze, ma moc mityczną – rodzi, zachowuje i przekracza śmierć.

Warto zwrócić uwagę także na obecność wiersza dedykowanego afrykańskim studentom – jako wyraz otwartości poety na inność, dialog i wspólnotę ponad granicami. Mirosławski nie zamyka się w perspektywie narodowej – przeciwnie, jego język obejmuje całość ludzkiego doświadczenia. Sartre, Senghor, Nyerere – to imiona znaczące, budujące most między kontynentami. Poezja ta przypomina, że każdy człowiek, niezależnie od koloru skóry czy

historii, ma prawo do metafizycznego domu i pamięci.

„Czasu bramy” to księga o bramach, przez które wchodzimy i wychodzimy całe życie – do dzieciństwa, do wspomnień, do śmierci, do ciała, do słowa. To poezja bez przesady i bez hałasu, ale przez to silniejsza i bardziej prawdziwa. Zostaje po niej coś niezwykłego – uczucie, że ktoś w nas powiedział coś, co sami czuliśmy, lecz nie umieliśmy nazwać: *Bo im ku tobie miłość zatrzymuje drogę. Moje myśli bezgłośnie, ale niekłamane.*

Zbigniew Mirosławski jawi się w tej książce jako świadek – nie historii faktów, lecz historii duszy. W jego wersach odbija się echo tego, co minione i tego, co może nadejść. Jego poezja nie podnosi głosu, ale trwa – jak światło latarni na wzburzonym morzu, jak modlitwa zapisana w pamięci kamieni.

„Czasu bramy” to tomik głęboki, mądry, uduchowiony, zasługujący na wielokrotną lekturę. To dzieło, które nie tylko warto przeczytać – warto je mieć obok siebie, jak kamień milczenia, który mówi więcej niż krzyk.

Wydanie drugie, Tarnów, Beldruk 2023 r.

© Withkacy

Zaborniak 2025

Marta Czok. „In Memoriam”.

Henryka Milczanowska (*Kurator wystawy*)



Wystawa „Marta Czok. In Memoriam”, Galeria Hugonówka w Konstancinie Jeziornie, 2024 r.

*

Mam nadzieję, że będę rzecznikiem tych, którzy myślą jak ja, ale nie mają czasu ani okazji, by zabrać głos. Choćby tylko na

*płótnie. **

Marta Czok

W lutym 2025 roku odeszła Marta Czok, wybitna artystka emigracyjna, której sztuka – pełna ironii, empatii i ostrości widzenia – dotykała najważniejszych pytań współczesności. Związana była z Wielką Brytanią i Włochami, z urodzenia Polka, z tożsamości – Europejka. W Polsce po raz pierwszy dzieła tej uznanej na świecie malarki zobaczyliśmy w 2017 roku w Warszawie, w galerii Włoskiego Instytutu Kultury, dzięki rozpoczętej wówczas stałej współpracy artystki z Fundacją (dla) Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989. W okresie 7 lat przygotowano 6 wystaw w muzeach i galeriach na terenie kraju, w tym największe w Muzeum Karykatury w Warszawie, Lublinie, Łodzi, a także w ostatnim czasie w Konstancinie Jeziornie i we Wrocławiu. Aktualna wystawa „Marta Czok. In Memoriam” we Włoskim Instytucie Kultury w Krakowie jest ważnym momentem podsumowującym jej twórcze działania, włącznie z prezentacją ostatnich obrazów z 2024 roku utrwalających głęboki humanizm tematów, połączonych z bezkompromisową satyrą ich treści.



Marta Czok, wystawa „In Memoriam”



Marta Czok, wystawa „In Memoriam”

*

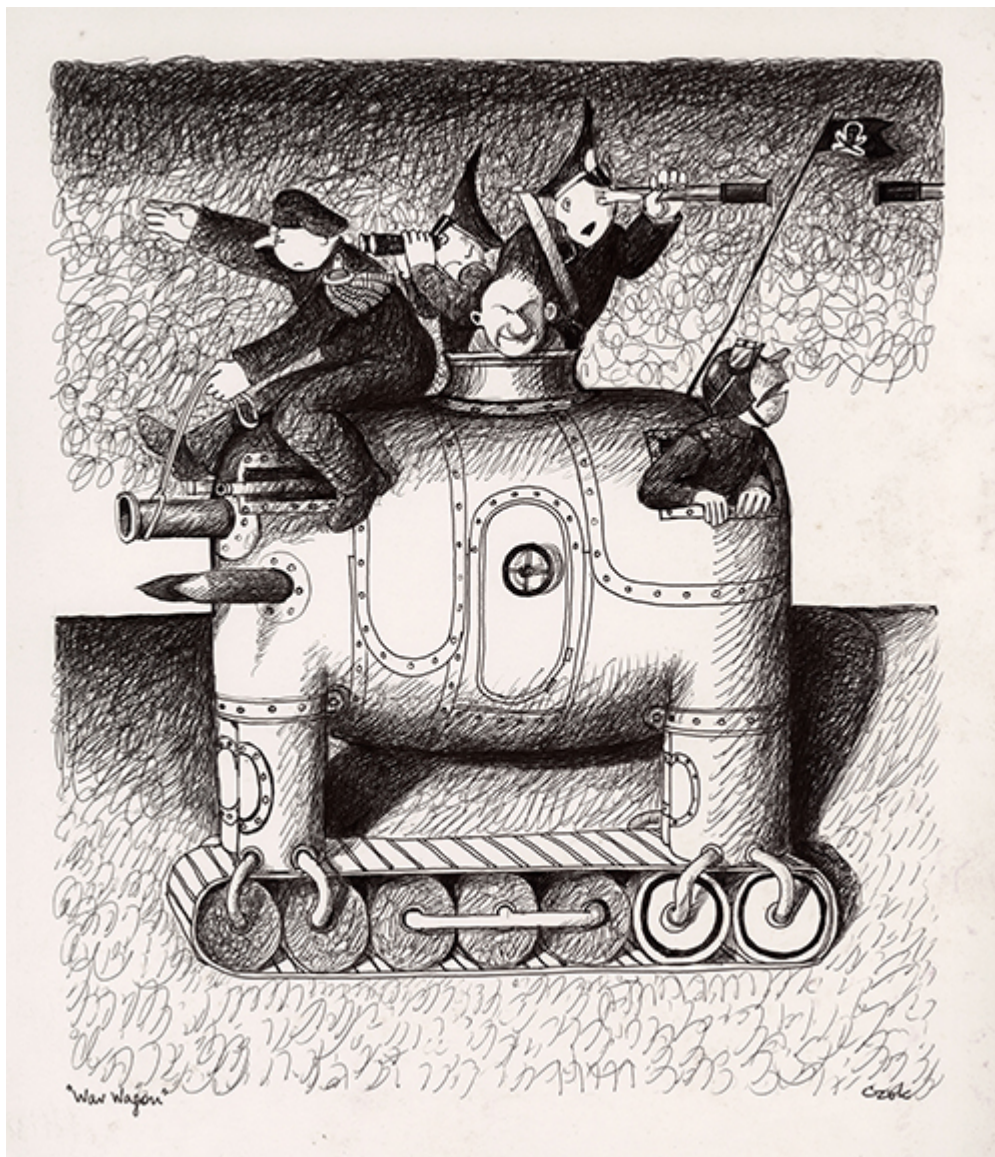
Marta Czok urodziła się w 1947 roku w Bejrucie w rodzinie polskich uchodźców wojennych. Jej rodzice – Jadwiga i Józef – przeszli szlak II Korpusu Polskiego. Po wojnie, jak wielu polskich żołnierzy i cywilów, wybrali życie na emigracji, w Anglii.

Dzieciństwo Marty upłynęło więc na emigracyjnej tułaczce – z Libanu, przez Włochy do Wielkiej Brytanii. Choć Polska była dla

niej krajem niepoznanym, to **język, literatura i ojczysta historia przekazywana przez rodziców**, kształtowały jej tożsamość. Wychowywała się w polskim środowisku emigracyjnym, a z biegiem lat Polska – jako mit, wspomnienie i zobowiązanie – stawała się ważnym punktem odniesienia w jej twórczości. Studiowała w renomowanej Saint Martin's School of Art w Londynie, gdzie ukończyła kierunek tekstyliów i projektowania. W latach 70. osiadła wraz z mężem we Włoszech, poświęcając się malarstwu. Od tego czasu tworzyła dzieła, które – jak sama mówiła – są „malarską próbą powiedzenia światu, co naprawdę o nim myślę”.

Artystka często inspirowała się średniowieczną ikonografią, barokiem i karykaturą prasową – w szczególności rysunkami brytyjskiego satyryka Gilesa. Sięgała też do motywów religijnych- co ważne, przekształcając je w krytyczne alegorie społeczne. Jednym z najważniejszych motywów w jej twórczości są dzieci – samotne, porzucone, uciekające. Cykl „Children in War” powstał z osobistej potrzeby artystki do zmierzenia się z własnym dzieciństwem i wojenną traumą, która – choć pośrednia – głęboko naznaczyła jej los.

*Dzieci są u mnie nie tylko postaciami symbolicznymi. One patrzą, osądzają, mówią w moim imieniu. Dziecko w moim malarstwie ma ważne miejsce. To ono najczęściej mówi prawdę. I trzeba pamiętać, że wszystkie dzieci płaczą tak samo.**



Marta Czok, wystawa „In Memoriam”

Marta Czok wypracowała charakterystyczny styl malarski, który trudno pomylić z jakimkolwiek innym. Na pierwszy rzut oka jej obrazy mogą wydawać się bajkowe – pełne kolorowych, uproszczonych postaci i scen. Ale to złudzenie. Pod tą pozorną lekkością kryje się głęboka analiza człowieka w społeczeństwie – jednostki uwikłanej w politykę, religię, historię i codzienne absurdy życia. Artystka często powtarzała, że najważniejsza dla niej była obserwacja. Miała talent do uchwycenia istoty sytuacji społecznych – zarówno tych współczesnych, jak i historycznych.

W jej pracach pojawiają się odniesienia do Holokaustu, II wojny światowej, przesiedleń, ale też do dzisiejszych form zniewolenia: konsumpcjonizmu, manipulacji medialnej, bezrefleksyjnego powielania idei.



Marta Czok, wystawa „In Memoriam”

Dwa pojęcia, które najlepiej definiują twórczość Czok, to pamięć i ironia. Pamięć – jako świadectwo historii, również tej niewygodnej. Ironia – jako narzędzie demaskowania złudzeń.

A jednak Czok nie była pesymistką. Jej ironia nie była cyniczna – raczej miała na celu obudzenie świadomości. Miała nadzieję, że poprzez obraz uda się dotrzeć głębiej niż przez słowo – do intuicji, do emocji, do sumienia.

Krakowska wystawa „In Memoriam” ** ma wymiar szczególny. Jest pierwszą prezentacją jej prac w Polsce po śmierci i zarazem rodzajem artystycznego pożegnania. Pokazuje nie tylko najważniejsze tematy, które towarzyszyły jej przez lata, ale też ich ewolucję – od krytyki społecznej, przez refleksję nad wiarą, aż po niemal mistyczną symbolikę w późniejszych dziełach. Współczesny kontekst czyni twórczość Czok aktualną niemal pedagogicznie. Zwraca uwagę na potrzebę pamiętania, dystansu, empatii i odwagi do zadawania trudnych pytań. Wystawa „In Memoriam” to zbiorowe przypomnienie – że sztuka może być lustrem, satyrą i pomnikiem jednocześnie.



Marta Czok z Ambasadorem Włoch (z lewej) oraz z dyrektorem Włoskiego Instytutu Kultury w Warszawie, podczas pierwszej wystawy malarki w Polsce w 2017 roku

* Cytaty pochodzą z wywiadu z artystką, przygotowanego do wystawy w Muzeum Karykatury w Warszawie w 2020 roku.

** Wystawa „In Memoriam”

Włoski Instytut Kultury w Krakowie, ul. Grodzka 49

Czynna do: [31 sierpnia 2025]

Organizatorzy: Istituto Italiano di Cultura, Fundacja dla Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989,

Fondazione Marta Czok.

Kuratorzy: Henryka Milczanowska, Jacek Ludwik Scarso.

Pamięć przedmiotów

**Z Barbarą Gruszką-Zych i Grzegorzem Lityńskim, autorami
niezwykłej biografii Krzysztofa Zanussiego - rozmawia
Joanna Sokołowska-Gwizdka.**



Od lewej: Barbara Gruszka-Zych, Elżbieta Zanussi, Grzegorz Lityński, Krzysztof Zanussi w domu Państwa Zanussich w Laskach pod Warszawą, fot. z książki „Zanussi. Przez przedmioty”, autor Grzegorz Lityński

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Przygotowaliście wspólnie album, budzący emocje – *Zanussi przez przedmioty*. To fenomenalna biografia opowiedziana poprzez fotografie i teksty. Dla mnie było odkryciem, że tak może wyglądać opowieść o człowieku. Wchodząc do domu reżysera, poznając domowników, panującą tam atmosferę i przedmioty z duszą, widzimy więcej. Jak zrodził się pomysł na powstanie tej nieoczywistej biografii?

Barbara Gruszka-Zych:

Poznałam Krzysztofa i Elżbietę Zanussich, a także, nieżyjącą już mamę reżysera panią Wandę, przed 35 laty. Z czasem ta znajomość, początkowo wyłącznie dziennikarska, przerodziła się w przyjaźń. Kiedy zbliżały się 85. urodziny pana Krzysztofa przypominałam sobie, że jego wypowiedzianym kiedyś głośno marzeniem było stworzenie albumu rejestrującego otaczające go przedmioty, znajdujące się w jego domu w Laskach i mieszkaniach przy ul. Kaniowskiej w Warszawie, a także w Paryżu. Przyznał, że chciałby utrwalić swoje otoczenie, kiedy pracowaliśmy nad książką *Życie rodzinne Zanussich*. Do współpracy przy powstaniu książki - albumu, który stał się prezentem urodzinowym dla pana Krzysztofa, zaprosiłam Grzegorza Lityńskiego - doświadczonego, wrażliwego fotografa, który na swoich zdjęciach pokazuje duchowy wymiar portretowanych ludzi i rzeczy. Bo ten album nie stanowi jedynie realnego inwentarza stanu posiadania naszego bohatera. Przede wszystkim staraliśmy się w nim pokazać duchowy wymiar Jego egzystencji, zawsze obecną miłoszowską „drugą przestrzeń”.

Joanna:

W waszej książce widać nie tylko przedmioty, ale też emocje, wspomnienia, przemijanie... Jak to możliwe, by poprzez fotografię oddać coś tak ulotnego?

Grzegorz Lityński:

To kwestia kilku warstw: kompozycji, światła, detalu. Ale też rytmu, układu zdjęć, które współgrają z tekstem Barbary. Każdy rozdział to osobna narracja – ma swoje zdjęcia otwierające i zamykające, czyli te najważniejsze. Istotne są też niedopowiedzenia. Gdy mówimy o przemijaniu, nie można pokazywać tego dosłownie – bo wtedy zabija się poezję.

Joanna:

W książce widać powracające motywy: schody, poręcz, kotara, stół...

Grzegorz:

To nasze „leitmotivy”. Wprowadzają rytm i głębię. Nawet kolor ma znaczenie – np. rozdział o przemijaniu nie jest czarno-biały, jak można by się spodziewać, tylko pełen kolorów. Wprowadzam czerń i biel, by uspokoić wizualnie narrację, a nie żeby podkreślać smutek.



Elżbieta Zanussi i Barbara Gruszka Zych podczas przygotowywania albumu, fot. z książki „Zanussi. Przez przedmioty”, autor Grzegorz Lityński

Joanna:

Czy teksty i zdjęcia powstawały równolegle?

Grzegorz:

Niestety nie mieliśmy luksusu pracy etapowej – teksty powstawały na bieżąco, dosłownie codziennie przychodziły nowe fragmenty, które wymuszały zmiany w kompozycji zdjęć. To było duże wyzwanie.

Barbara:

Ta dynamiczna praca miała też dobre strony – wzajemnie się inspirowaliśmy. Czasem mówiłam Grzegorzowi: „To zdjęcie musi zostać!”. Tak było w przypadku fotografii, leżącego do góry brzuchem labladora państwa Zanussich, rozpoczynającej rozdział „Koń wierzgający nogami na ścianie”. Nieoczywiste odniesienie do jego tytułu sprawia, że zdjęcie nabiera charakteru humorystycznego. Grzegorz mnie posłuchał, ja się ucieszyłam, wiedząc, że potrzebował tylko potwierdzenia. Bo wiadomo – jak mi powiedział kiedyś Czesław Miłosz – autor powinien słuchać sugestii innych, ale ostatecznie musi pozostać wierny swojej wizji.

Joanna:

Wchodząc do świata wykreowanego w albumie, widzę dom Państwa Zanussich jako dom z duszą, pełen wspomnień i rodzinnej przeszłości. Jakie jest podejście bohaterów albumu do burzliwej historii, która nie zawsze pozwalała na zachowanie rodzinnych pamiątek?

Barbara:

Elżbieta Grocholska-Zanussi – z pochodzenia arystokratka – powiedziała mi kiedyś, co przywołuję w naszej książce, że nauczyła się bez żalu tracić przedmioty, bo jej przodkowie zostali zdeklasowani i pozbawieni majątku. Mając w genach taką życiową naukę starała się nie przywiązywać do rzeczy. Podzieliła się ze mną też tym co zaobserwowała, że jej mężowi

Krzysztofowi - wywodzącemu się z mieszczaństwa, wypracowującego w ciężkim trudzie swój dorobek - trudniej jest godzić się z ich utratą. Istotne, że nasi bohaterowie, bo Elżbieta, jako nieodłączna towarzyszka pana Krzysztofa, stale występuje obok niego nie tylko na kartach tego albumu - dzielą się z innymi posiadanymi dobrami - prowadzą dom otwarty, zapraszają gości, pomagają każdemu, kto tego potrzebuje.

Grzegorz:

Ten dom jest przemyślany w każdym szczególe - przepiękna oranżeria, otwierająca przestrzeń, różne detale, takie jak np. sufit w sypialni z jaskółkami. Pan Krzysztof Zanussi, który wiele podróżuje, żartuje, że jak rano się budzi i widzi nad sobą jaskółki, to znaczy, że jest w domu. W każdym razie dom Państwa Zanussich, to nie tylko estetyka, ale i opowieść o wspólnym życiu. I widać, że został urządzone przez kogoś bardzo wrażliwego - panią Elżbietę, która z zawodu jest artystką.



Fot. z książki „Zanussi. Przez przedmioty”
autorstwa Grzegorza Lityńskiego



Fot. z książki „Zanussi. Przez przedmioty”
autortwa Grzegorza Lityńskiego

*

Joanna:

Jak wyglądała współpraca z państwem Elżbietą i Krzysztofem Zanussimi przy opracowywaniu albumu?

Grzegorz:

Niesamowicie swobodnie. Miałem dostęp do każdego zakątka domu. Nie było żadnych ograniczeń. Pan Krzysztof zdziwił się tylko raz, gdy pokazałem mu zdjęcie domu z drona – powiedział: „to nie mój dom!”. Okazało się, że nigdy nie widział swojego domu z tej perspektywy.

Barbara:

To rzadkość, że opisywani i portretowani przez nas nie mieli żadnych zastrzeżeń do naszej pracy. Nie pozwali, nie kreowali na siłę rzeczywistości upiększając ją. Już wcześniej ze zrozumieniem, a może lepiej – pokorą przyjęli fragment mojej książki *Życie rodzinne Zanussich*, pokazujący ich małżeńskie spory. Niczego nie chcieli usuwać, by pokazać jak jest naprawdę. Elżbieta po lekturze naszego albumu zadzwoniła do mnie i powiedziała: „Świetnie to zrobiliście”. To było największe docenienie, bo wiem jaka na co dzień jest krytyczna. Kiedy zwierzyłam się jej mężowi, jak mnie ucieszyły jej słowa, usłyszałam: „Mnie też, bo sam się bałem opinii Elżbiety”.

Joanna:

Czy w filmach Krzysztofa Zanussiego przedmioty też grają ważną rolę, jako nośnik pamięci?

Barbara:

One grają niczym bohaterowie. Np. w filmie *Persona non grata*, wiszące w szafie sukienki po zmarłej żonie – opowiadają o niej

więcej niż słowa. Zresztą film zaczyna się od oglądania rozerwanej na pół fotografii – szczegółu, który napędza fabułę.

Joanna:

Podróżujecie teraz z książką po Stanach Zjednoczonych, spotkaliście się z czytelnikami w Austin, Waszyngtonie, Nowym Jorku. Jak wasza książka została przyjęta podczas spotkań w Ameryce?

Barbara:

Przeżyliśmy niezwykle doświadczenie bardzo intensywnego kontaktu z uczestnikami spotkań. Zarówno w Austin, jak i w Waszyngtonie czy w Nowym Jorku – nasi czytelnicy byli zainteresowani w jakim otoczeniu i jak żyje wybitny reżyser, ale i inni bohaterowie też promowanej książki „Moi ważni. Portrety prywatne”. Opowiadali nam też swoje osobiste historie, jakby pragnąc, by przetrwały w naszej pamięci, a może zostały przez nas spisane. Ktoś powiedział, że Zanussi dzięki naszej książce dla niego „zmartwychwstał”, bo zapomniał o jego filmach, a teraz ma ochotę do nich wrócić. Wielokrotnie słyszeliśmy prośbę: „Polećcie mi jaki film Zanussiego mam obejrzeć”. Staraliśmy się doradzać, sami mając problem z wybraniem kilku najważniejszych tytułów, bo każdy z obrazów twórcy „Iluminacji” zasługuje na uwagę.

Grzegorz:

W Waszyngtonie spotkanie odbyło się po angielsku. Czytano wiersze Barbary, był też pokazany film. To spotkanie miało bardziej poetycki wymiar. W Austin publiczność była zróżnicowana, ale ogromnie zainteresowana. Wspaniale jest widzieć emocje na twarzach i żywiołową reakcję. W każdym razie wszędzie czuliśmy autentyczną więź z ludźmi, a to jest bardzo cenne.

Barbara:

Uczestnicy naszych wieczorów autorskich porównywali swoje historie, do losów bohaterów, o których opowiadaliśmy. Widzieli, że ich z uwagą słuchamy. Nie można zapominać, że każde spotkanie opiera się nie tylko na opowieści, ale uważnym słuchaniu właśnie, a na styku tych dwóch aktywności tworzy się to, co nieuchwytnie, ale najważniejsze - ludzkie więzi.



Grzegorz Lityński, Barbara Gruszka-Zych i Joanna Sokołowska-Gwizdka podczas spotkania autorskiego w Austin, w Teksasie, marzec 2025, fot. Jacek Gwizdka

Joanna:

Gdy uda się stworzyć taką atmosferę spotkania, że publiczność czuje się swobodnie i widać, że poruszyło się głębokie struny, to chyba największa nagroda za pracę nad publikacją. W Austin jeszcze długo po Waszej wizycie słyszałam komentarze, jak bardzo wartościowe są takie opowieści, jak dają do myślenia, jak porządkują to, co jest w nas. Dziękuję Wam bardzo za rozmowę i za to, że szczerze dzielicie się poezją i wartościami tak ważnymi w naszym życiu.

Przeegrani zwycięzcy

Krzysztof Kasprzyk (*Kanada*)

Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba

Podnoszą z ziemi przez uszanowanie

Dla darów Nieba....

Tęskno mi, Panie...

C.K. Norwid „Moja piosnka”



Od momentu wyjazdu z Polski, co pewien czas zastanawiałem się nad znaczeniem tych słów. Dla mnie, dla moich rodziców, dla dziadków, którzy żyli jeszcze pod zaborami. I dla Norwida, dla tamtego pokolenia pierwszej Wielkiej Emigracji.

Zastanawiałem się także nad zabiegiem naginania i dostosowywania takich słów do określonego, historycznego

kontekstu. Przede wszystkim za niosącymi się w nich emocjami, myślami, tęsknotami. Rozważaniami o patriotyzmie, obowiązku, powinności. Wiem dziś z całym przekonaniem, że w stosunku do moich rodziców czy dziadków, wiele tych emocji dla mnie wyblakło, zmieniło sens i znaczenie.

Po roku 1981 byłem emigrantem. Po roku 1989 mam wewnętrzny sprzeciw wobec tego określenia. Wolę osiedleniec – osiedliłem się w Kanadzie, gdzie żyję już dłużej niż w Polsce. Nigdy nie byłem rozdarty pomiędzy Polską a Kanadą, a od kiedy zacząłem siedem lat temu przemieszkować w argentyńskiej Patagonii, poczułem się obywatelem świata. Osadzonym w polskim języku, polskiej kulturze, tradycji i rodzinnych więzach. W zasadzie nie opuściłem Polski ani jednego dnia, co jeszcze wzmocnione jest moimi corocznymi przyjazdami od 25 lat i pisaniem w polskim języku.

Poczułem, iż mój zasób wolności się powiększył, owo nieskrępowane bycie w tym świecie. Nie tylko Polska stała się otwarta. Także Europa i świat. Mimo wszelakich konfliktów i łajdactw, wojen i innych zbrodni. Wiem, że nie jestem bezmyślnym patriotą, pławiącym się w tak ulubionej przez wielu Polaków obrzędowości i działaniach na pokaz. Tutaj można by powrócić do wiersza Norwida i zacytować jeszcze jedną zwrotkę:

Do bez-tęsknoty i do bez-myślenia,

Do tych, co mają **tak** za **tak** - **nie** za **nie**,

Bez światło-cienia...

Tęskno mi, Panie...

Szkoda, że nie mogę o tym porozmawiać z moimi rodzicami, szczególnie z ojcem, w kolejną rocznicę D-Day, w którym brał udział. Ląduje w Normandii 17 lipca 1944 roku, jako dowódca inwazyjnej jednostki przydzielonej do angielskiej armii - 411 R&SU (*Repair and Salvage Unit* - Jednostka Naprawy i Ratownictwa).



Franciszek Kasprzyk, lotnictwo w Anglii, 1941 r., fot. arch.

autora

Kiedy pasjonowałem się rzeźbieniem pomnika Nieujarzmionego Konia (*Crazy Horse*, a powinno być *Untamed Horse*) w Południowej Dakocie, przez rodzinę Korczaka Ziółkowskiego, odkryłem, że Korczak brał udział w inwazji, jako ochotnik, na plaży Omaha. Mój ojciec obok, na brytyjskiej plaży Gold. Następny, sąsiedzki odcinek to byli Kanadyjczycy na Juno. I jak tu nie wierzyć w przypadki i szczególne znaki (zbieg okoliczności), które tak często przewijają się w moim życiu.

W 1973 roku w Londynie, w przejmująco pustym klubie Polskiego Lotnika, spotkałem jakiegoś starszego pana, który okazał się uczestnikiem II wojny i oficerem łącznikowym przy polskich dywizjonach. Po krótkiej rozmowie i poinformowaniu go, że mój ojciec był w 308 dywizjonie, ów pan zaprosił mnie na drinka i kontynuowaliśmy niemal godzinną pogawędkę po polsku. Okazał się Kanadyjczykiem. W pewnej chwili nagle powiedział: „Niech pan jedzie ze mną do Montrealu. Wszystko panu załatwię bez żadnych problemów”. Propozycja kompletnie zbiła mnie z tropu, tym bardziej, że wtedy grzęzłem w skomplikowanej sprawie osobistej i koniecznie chciałem do Polski powrócić. Podziękowałem i odmówiłem. Ten pan okazał się słynnym Elginem Scott'em

[<https://www.polishairforce.pl/scott.html>].



Pamiętkowe zdjęcie polskiej jednostki RSU. Ojciec na środku, czwarty od lewej, w pierwszym rzędzie, fot. arch. rodzinne

Niespodziewanie powrócił do mnie, gdy w roku 1979 pracowałem w piśmie „Technika i Gospodarka Morska”. Redakcja mieściła się w nieistniejącym obecnie Wydawnictwie Morskim w Gdańsku. Któregoś dnia, na dnie szuflady mego biurka sekretarza redakcji, znalazłem w maszynopisie, odrzucone przez cenzurę i niewydane, pamiętniki byłego ministra żeglugi i gospodarki wodnej (w latach 1957- 1964), Stanisława Darskiego. Tam opisał historię rodziny Scott’ów, których przodek osiadł w Polsce, w końcu wieku XIX. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Elgin_Scott] Do dziś żałuję, że tego pamiętnika stamtąd nie zabrałem.

Mimo tego, że od 1984 mieszkałem w Kanadzie i trzykrotnie przejechałem przez Montreal, zapomniałem o istnieniu Scott’a. Ujrzałem go przypadkowo w kanadyjskiej telewizji CBC, gdy z

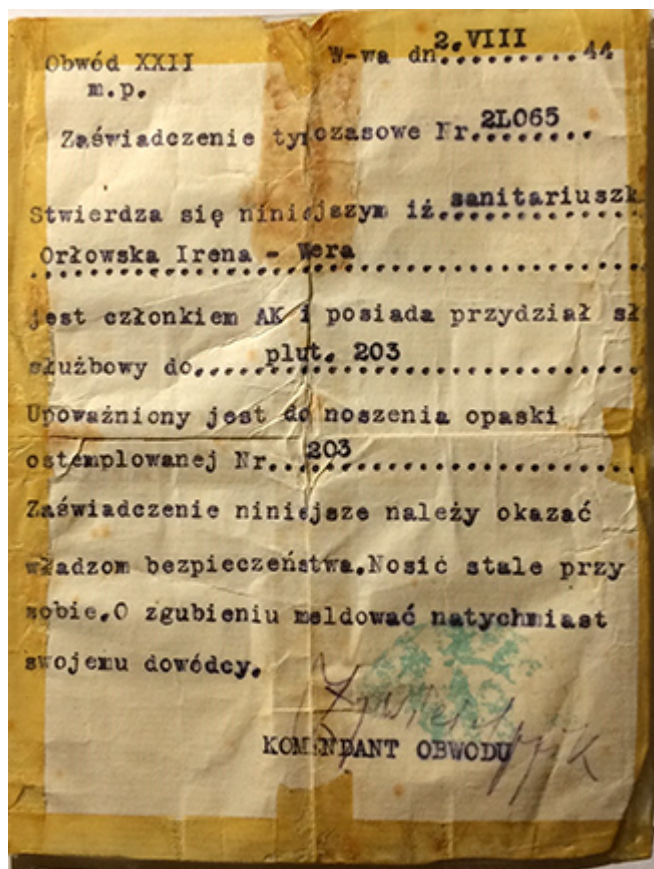
okazji 50 rocznicy zakończenia II wojny, udzielał wywiadu. Opowiadał o polskich pilotach, o ich odwadze i fantazji. Zmarł w roku 2011 w miasteczku Rowdon koło Montrealu.

*

W zeszłym roku, drugi raz w życiu, porządkowałem rzeczy po śmierci bliskiej osoby z rodziny. Pierwszą, wiele lat temu, była babcia, matka mojej mamy. Ocaliła i przechowała niezwykle dokumenty, m.in. drukowany na maszynie rozkaz dla mamy, jako sanitariuszki Powstania, z 2 sierpnia 1944, podpisany przez płk. Żywiciela (Mieczysława Niedzielskiego) oraz jej listy z obozu Oberlangen.



Mama (Irena Orłowska) na tarasie przy ul. Krasieńskiego w Warszawie z Bobikiem, 1938 lub 1939 r,



Dokument powstańczy mojej mamy

*

Teraz porządkowanie rzeczy po macosze, przebiegało spokojniej. Z mniejszym stresem, a nawet z pewną ekscytacją, bowiem ona starannie przechowała rodzinne pamiątki. Znalazłem tyle dokumentów i zdjęć po mamie i ojcu, że poczułem, iż wreszcie mogę dopełnić ich życie i ocalić przed zapomnieniem. Odkryłem cały szlak bojowy ojca - od opuszczenia Polski w 1939 roku do powrotu w maju 1947 - uzupełniony licznymi szczegółami, odnalezionymi po wielu godzinach buszowania na Internecie.

Trzy lata temu, zająłem się gromadzeniem pamiątek po mamie i

przekazałem je do Muzeum Powstania Warszawskiego. W trakcie żmudnych poszukiwań, odnalazłem dokładną datę i przebieg wyzwolenia jej obozu Oberlangen, gdzie zaczyna się historia rodziców i... moja.



10 październik, 1945 (w rok później będę już na świecie). Na rewersie ozdobna dedykacja - „Swojej małpce Piesek”. Hmm.. małpka małą literą, a piesek z dużej. Ach, ta jego niezgrabność i szorstkość, z którą potem mogłem często się stykać. Z całych sił bronił się przed wzruszeniami, które poczytywał za słabość. Ja

jestem z tych nieprzytulonych przez ojca, lecz za to umiarkowanie i rozsądnie przez matkę, fot. arch. rodzinne

Usiłuję wyobrazić sobie ten moment, gdy po raz pierwszy skrzyżowały się ich spojrzenia. Jest rok 1945, 13 kwietnia, dzień po wyzwoleniu obozu. Mama, Irena, akurat wyszła z lazaretu obozowego, zgaszona i nieco wynędzniała po traumatycznych przeżyciach w Powstaniu i na skutek warunków w stalagu. Ma 22 lata. Ojciec, Franciszek, sierżant z 308 dywizjonu Krakowskiego. W kwietniu 1945 przekracza granicę Niderlandii i Niemiec natykając się na żołnierzy z dywizji gen. Maczka. Ktoś informuje go, że wczoraj wyzwolili obóz polskich kobiet z Powstania Warszawskiego.

Wskakuje do jeepa i jedzie do obozu. Przystojny chłopak w wojskowym mundurze. Zdziwiłem się i zarazem roześmiałem, gdy znalazłem sporo zdjęć dziewczyn, angielskich i innych, z dedykacjami dla niego. Miał powodzenie. Na wojnie znalazł się w wieku 18 lat. Paradoksalnie, w tak młodym wieku, świat nie tylko całkowicie stanął na głowie, ale się przed nim otworzył. Jest po równie traumatycznych przeżyciach - od początku wojny żadnych wieści o rodzinie, utrata bardzo wielu kolegów i przyjaciół z lotnictwa. Ma 24 lata.



Zgodnie z prawami młodości ojciec także „wojował” na randkach z Angielkami (tzw. Wafkami ; WAAF - The Women's Auxiliary Air Force - Żeńska Służba Pomocnicza przy RAF). Piknik w roku 1942. Jedna panna spoczywa mu malowniczo na podołku, a inna z wyraźną troską go obejmuje. A on ma minę, tak dobrze znaną mamie i mnie, nieco nachmurzoną, pod tytułem "no dobra, może być...", fot. arch. rodzinne

Ten moment... Gdzie się na siebie natknęli? Na obozowym placu czy przed barakiem? Czy ojciec akurat wysiadał z jeepa, czy też już zmierzał na piechotę? Kiedyś ojciec wspomniał, że było późne popołudnie. Lecz dokładnie kiedy i jak wpadli sobie w oko? O czym rozmawiali? Co w sobie wzajemnie zobaczyli? Musiał to być niezły błysk, skoro w trzy dni później, ojciec zabiera mamę z obozu załatwiając jej przydział do swojej jednostki, włącznie z umundurowaniem. W październiku biorą ślub w wojskowej

kaplicy, w niemieckim miasteczku Quackenbrück i tam mieszkują. Ojciec był vice komendantem miasteczka z ramienia brytyjskiej armii okupacyjnej. I tam się urodziłem, we wrześniu 1946 roku.



Ślub rodziców, Quackenbrück, 27 października 1946 r. W rodzinnych dokumentach znalazłem pozwolenie na ślub od dowódcy ojca (sic!), laurkę dla młodej pary od 411 RSU, nazwisko wojskowego kapelana ks. Kończewskiego, który udzielał ślubu. Kiedyś ojciec aż podskoczył, bo w czasie wyławiania w latach 60., pomiędzy szumów i buczenia, słów z Radia Wolnej Europy, nagle odezwał się stamtąd ów kapelan, fot.

arch rodzinne.

*

Lecz o tym dowiedziałem się w roku 1997, w Toronto, gdy ojciec już nie żył. Nie był skory do zwierzeń. Pamiętam go z okresu lat 50. i 60., raczej ponurego, zamkniętego w sobie pracoholika i człowieka nadużywającego alkoholu. Kiedy coś mi nagle oznajmiał, było to z reguły spóźnione o lat parędziesiąt – adres mojej matki chrzestnej mieszkającej w USA lub kilkanaście – dokument brytyjski, który mnie upoważniał do otrzymania obywatelstwa Wlk. Brytanii, do szesnastego roku życia. Wręczył mi go, niemal uroczyście, gdy miałem lat 19. Marzyłem o wyrwaniu się z komuny. Coś się zamknęło, nim zdołało się otworzyć.

We wspomnianym roku 1997, w dwa lata po śmierci ojca, zabrałem mego małego syna, Lukasa, który dziadka znał tylko ze zdjęć i mych opowieści, na spotkanie polskich lotników w Toronto, żeby chociaż miał jakieś wyobrażenie o postaci dziadka i o tym – jak o nich się mówi – „stalowym pokoleniu”. Kiedy siedzieliśmy z kilkoma byłymi pilotami przy stole, Luka pochylił się ku mnie i zapytał szeptem „Tato, ile oni mają lat?”. Wtedy głośno, wszystkim przy naszym stole, powiedziałem o co mnie zapytał i poprosiłem, aby mu wyznali swój wiek. I się zaczęło... 82, 81, 86, 85, i jeden młodzian – 79.

Podczas spotkania dowiedziałem się od kolegi ojca; natychmiast, gdy się przedstawiłem, rzekł: „Ach syn Franka, dobrze go pamiętam”, o jego okupacyjnym stanowisku. Patrząc na ludzi przy stole, potem nie raz spotykając w Toronto innych polskich pilotów lub członków załóg bombowych, wyraźnie widziałem różnicę w wyglądzie mego ojca a tych ludzi, żyjących od lat w Kanadzie. Wszystko jest wypisane w postawie ciała, w stylu bycia, przede wszystkim w wyrazie twarzy. Tam się odbija spełnienie, poczucie wolności i satysfakcji z życiowych osiągnięć. Świadomość szacunku otoczenia, uznania dla wojennych zasług, W miarę spokojne życie wśród na ogół życzliwych i miłych ludzi. Takich, do których wychodzi się na przeciw bez wahania, z automatycznym kredytem zaufania. Takich, z którymi można się wspólnie bawić, nie rozstając się z okresowym używaniem alkoholu. Lecz wiedząc, że my nim rządzymy, a nie on nami, stając się złudnym lekarstwem „na problemy” i „przekłęte życie”.

Ojciec był na twarzy zniszczony, przedwcześnie postarzały, często zgaszony. I niemal zawsze było w nim jakieś napięcie. Jego brak pierwszy raz odkryłem w szpitalnej kostnicy, w Gdyni, gdy poprosiłem, aby nas zostawiono na chwilę samych. Uderzyło mnie to tym bardziej, że obok leżała kobieta, która miała niesamowity wyraz przerażenia na twarzy. Jakby zaciekle i z rozpaczą broniła się przed odejściem. Twarz ojca była całkowicie pogodna, uszło z niego owo długotrwałe napięcie. Może dlatego nie wstrząsnęło mną aż tak bardzo, kamienne zmrożenie jego

ręki, gdy ją dotknąłem.



Lotnisko Northolt, grudzień 1942. Ojciec czwarty od lewej, fot. arch. rodzinne

Relacje mieliśmy bardzo trudne i trudne. Kiedy po 13 latach mogłem wreszcie przyjechać bez obaw do Polski, spotkałem się z nim po raz pierwszy od 15 lat. Cieniem na naszych stosunkach leżał jego alkoholizm, z którym starannie krył się przed rodziną matki. Zresztą tak samo postępowała ona i ja, bo nam po prostu było wstyd. Czasami zdarzały mu się wpadki, lecz w tym kraju, który jak nie w sporej części pijany, to na rauszu lub na kacu,

powszechną tendencją było skrywanie lub wypieranie problemu. Z kolei na swoją rodzinę znalazł inny sposób – niemal w ogóle się z nią nie kontaktował. Okazją do spotkań były najczęściej pogrzeby jego licznego, starszego rodzeństwa – trzy siostry i trzech braci.

Alkohol zmieniał jego osobowość, pogłębiał pewną słabość charakteru, bo w innych przypadkach potrafił być niesłychanie twardy i stanowczy. Był pracowity, zasadniczy, co przechodziło nie raz w nieznośny pedantyzm. Był skrajnie uczciwy i często bezradny wobec rzeczywistości PRL-u. Mało wiedziałem o jego przeszłości, przede wszystkim przedwojennej i wojennej. Jak pamiętam, bardziej zbierało mu się na zwierzenia po wódce, lecz wtedy często był pełen agresji i pretensji, czasami zarzucając mi „Co ty wiesz o życiu, szczeniaku? Prawie wszyscy moi koledzy zginęli!”.

Jednocześnie, w miarę upływu lat znaczonego nadużywaniem alkoholu, który nie tylko nadszarpywał jego zdrowie, ale pustoszył umysł, w tych pijanych porywach, opowiadał niekiedy o wojennych wyczynach, swoich lub innych osób z naszej rodziny, które potem okazywały się połowicznie prawdziwe lub całkowicie zmyślane. Te korekty dotarły do mnie w ostatnich latach, na rodzinnych spotkaniach, głównie osób z jego rodziny. Jednakże w stosunku do wielu innych dorosłych, których poznałem w czasach licealnych i na studiach, był w swych podpompowanych

opowieściach raczej umiarkowany.

I zapewne to nie tylko polska cecha, tak genialnie uchwycona w piosence Młynarskiego „W Polskę idziemy”, której ojciec oczywiście nie znosił. Bo na przykład w książce Annie Ernaux „Lata” znalazłem taki passus: „W ustach pięćdziesięciolatków i osób starszych wspomnienie wojny sprowadzało się do osobistych anegdot, pełnych czcnych przechwałek, które ludziom przed trzydziestką wydawały się gładzeniem”.

Obie rodziny - mamy i ojca - z licznymi dalszymi powiązaniem, miały niezwykle szczęście w okresie wojny. Poza rodzicami, paręnaście innych osób było czynnie zaangażowanych w ruch oporu i działania wojenne. Wszyscy wojnę przeżyli, co było głównym powodem decyzji rodziców o powrocie do Polski. Dopiero, gdy byłem na pierwszym roku studiów, w tajemnicy dowiedziałem się, że zginęła tylko jedna osoba - drugi mąż siostry mego dziadka, dr. Karol Potrzobowski. Ale w jakże tragicznym miejscu. W Katyniu.



Mama w czerwcu 1945, w wymarzonej Paryżu. Po powrocie do Polski świat dla niej, jak i dla ojca, się zamknął, fot. arch. rodzinne

*

Miałbym ochotę napisać teraz obszerny list do ojca. Napisałem przedtem dwa takie listy (reszta to były kartki ze świątecznymi życzeniami, szczególnie po wyjeździe z Polski): pierwszy w czerwcu 1984 roku, w trzy miesiące po przyjeździe do Kanady, kiedy oglądałem w lokalnej telewizji obchody uroczystości 40

rocznicy lądowania w Normandii. Zauważyłem tam polskich kombatantów, w tym z Kanady i nagle poczułem gorycz, może podobną do tej jaką czuł ojciec, stojąc na chodniku w Londynie i z zaciśniętymi szczękami oglądając paradę zwycięstwa, bez udziału polskich żołnierzy.

Kiedy pierwszy raz mi o tym powiedział, smutny i podenerwowany, był rok 1956, gdy rodzice zaczęli w miarę otwarcie opowiadać o wojennych przeżyciach. W miarę, bo czuli, że odwilż jest pozorna, krótkim epizodem tak sterowanym, aby władza się nie wymknęła i została nienaruszona. Już nie mieli złudzeń. Dla mnie opowieść o tym jak nas potraktowali w paradzie zwycięstwa, była pierwszą rysą w mitycznym monolicie Zachodu, oglądanym z daleka, wyławianym spomiędzy zagłuszeń w Radio Londyn i RWE i w podsłuchiwanym rozmowach dorosłych, którzy „tam byli, kiedyś tam pojechali”.

W 1984 roku ojciec był jedynym, żyjącym jeszcze uczestnikiem D-Day na Wybrzeżu, i jednym z nielicznych w Polsce. Od dziesięcioleci odmawiał udziału w zniewoleniu Polski, choć jak większość z nas w okresie PRL, wplątany był w różne układy. W jego przypadku, głównie poprzez współbiesiadowanie, obficie podlewane alkoholem w licznych knajpach w Trójmieście z różnymi, aczkolwiek pomniejszych przedstawicielami władzy. Jednakże dalej wpływowymi. Latem 1968 roku, gdy korespondowałem z przyjaciółką wygnaną do Izraela przez

ludowe państwo i antysemickie draństwa, ostrzeżono go żeby mnie przekonał do zerwania korespondencji, bo już mi się przyglądają. Kiedy odmówiono mi w 1973 roku paszportu, przez kogoś załatwił, że po miesiącu paszport wydano.

Ale nikt nie zamierzał go zaprosić, tak jak jakichkolwiek przedstawicieli PRL, na obchody do Normandii, bo ledwie rok przedtem odwołano stan wojenny, „Solidarność” była zdelegalizowana, a solidarność ludzka nieustannie erodowana i tłumiona. Rozżalony za niego, z buzującym we mnie uczuciem wściekłości, napisałem ów obszerny list, podkreślając, że przez cały okres, po powrocie do Polski, traktowano go jak zdrajcę, a w najlepszym przypadku jako faceta obciążonego życiową pomyłką, bo znalazł się w czasie wojny na Zachodzie.



Wizyta gen. W. Sikorskiego, 1942 lub 1943 r. Tam było jeszcze jedno zdjęcie, które zobaczyłem w wieku kilkunastu lat. Nie wiem, gdzie owo zdjęcie się zapodziało i nie pamiętam nazwiska dekorowanego bohatera, krzyżem Virtuti Militari, przez gen. Sikorskiego. Ów młody człowiek miał pusty, lewy rękaw przyczepiony do munduru – stracił rękę po powietrznym pojedynku. Największym szokiem dla mnie nie była jego młodość, bo wtedy jeszcze tego nie rozumiałem, ale jego uśmiech – smutno-szczęśliwy i wręcz zawadiacki pod czarnym wąsem. To najbardziej mną wstrząsnęło, że można się uśmiechać z takim

okaleczeniem, fot. arch. rodzinne

Porządkując w zeszłym roku dokumenty po nim, znalazłem dwie legitymacje i medale, którymi wojskowa junta Jaruzelskiego obdarzała wiekowych kombatantów, próbując ich tym sposobem zjednać, co było dla mnie równoznaczne z ochłapem rzuconym po latach. O ironio! w miesiąc po uroczystościach 40-lecia D-Day, dano ojcu „Medal za udział w wojnie obronnej 1939”; potem w kwietniu 1985 „Medal Zwycięstwa i Wolności”, co odczułem jako nieprawdopodobną kpinę z niego. Dopiero, wręczony mu w czerwcu 1990 roku, „Krzyż czynu bojowego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie” uznałem za satysfakcjonujący.

To, że owe „jaruzelskie” odznaczenia przyjął, było dla mnie tak szokujące, jak zdarzenie z roku 1977, gdy przyszedłem do niego po poradę. Zostałem mianowany prezesem Klubu Studentów Wybrzeża „Żak” i po miesiącu młodzi towarzysze zaczęli naciskać na mnie bym wstąpił do PZPR, no bo jakże - na kierowniczym stanowisku i bezpartyjny. Moi współpracownicy uważali, że powinienem zapisać się (dla wielu była spora różnica między wstąpieniem a zapisaniem, zapisanie miało formę łagodniejszą, wręcz usprawiedliwiało). Obawiali się, że mnie wtedy ze stanowiska odsuną i wszystkie nasze ambitne plany, włącznie ze zlikwidowaniem rozległej korupcji w klubie i Zarządzie SZSP, wezmą w łeb. Ostatecznie udałem się po poradę do zasłużonego antykomunisty - mego ojca, tym bardziej, że wspólnie z matką w takim duchu mnie wychowali.

Akurat trafiłem na jego moment nieco zbolący, bo męczył go poranny kac. Pytałem, co mam uczynić i odrzekł „Wiesz, zapisz się, bo nie dasz rady zrobić tego co chcesz. Ja przegrałem życie, a nie chciałbym, abyś ty zmarnował swoje”. Byłem w szoku. Wypaliliśmy kolejnego papierosa niemal milcząc. Pożegnałem go i z tymi słowami, dziobiącymi wprost mój mózg „przegrałem swoje życie”, wyszedłem z naszego rodzinnego mieszkania. Idąc wzdłuż ściany domu tłukłem się z myślami. Jak to – przegrał i skłania mnie do tego samego? Bo przecież przystąpienie do tych skorumpowanych drani, to sprzeniewierzenie się wszystkim poprzednim latom. Wszystkim odczuciom i pragnieniom. Buntom i anarchicznym odruchom. Zdradą wielu przyjaciół i kolegów. I kiedy doszedłem do ulicy, nagle stanąłem i powiedziałem na cały głos „A taki wał”. I zostałem pierwszym, bezpartyjnym prezesem „Żaka” w jego dziejach. Utracili mnie po dziewięciu miesiącach.

Drugi list był natomiast wypełniony moją opanowaną i zimną złością, na bite dziesięć stron, na których podsumowałem nasze relacje i przede wszystkim co przeszła z nim matka. Powodem był jego krytyczny i krótki list, z racji kolejnego rozpadu mego związku, wraz ze stwierdzeniem, że „w naszej rodzinie nie było i nie ma rozwodów”. Zapomniał lub nie chciał pamiętać, że mama podała go do sądu o rozwód. W parę miesięcy po pierwszej rozprawie zachorowała na raka, on wtedy wrócił i się nią opiekował aż do jej śmierci. Ten jego odruch złożył się na moje przebaczenie, lecz po napisaniu „Kochany Tato!”, zaraz dodałem,

że go nie lubiłem. Napisałem również, że wiele przez niego wycierpiałem i to mu też przebaczam. I że jak nie było rozwodów w naszej rodzinie, ktoś musi wreszcie zacząć, by nie kontynuować życia w stresującym uwikłaniu i bezmyślnie się poświęcać. Czasem, z zewnątrz można dokonać więcej dobrego, niż tkwiąc w toksycznym związku.



Ojciec w swojej jednostce inwazyjnej w głębi Francji. Stoi u góry, po prawej. Ma na sobie kurtkę *battle dress*, której kolor, strukturę i zapach jeszcze pamiętam. Wisiała w wielkiej, sopockiej szafie latami i po cichu ją oglądałem, a nawet przymierzałem przed lustrem. Była też kamizelka skórzana, bez rękawów, którą piloci zakładali jako ocieplacz pod mundur. Gdy kończyłem pierwsze studia, krawiec dorobił do niej ciemnozielone rękawy i paradowałem cały dumny w tej kurtce,

którą wiele osób podziwiała. *Battle dress* zjarły mole, skórę pożyczyłem kumplowi z Lublina, w 1973 roku, na jego dojazd do domu i więcej jej nie widziałem. Tym bardziej, że Wojtek Ł., w parę miesięcy później, popełnił samobójstwo. Nieszczęśliwa miłość plus alkohol..., fot. arch. rodzinne

*

W parę lat później, gdy się pierwszy raz od lat spotkaliśmy w naszym sopockim mieszkaniu, w ostatnim dniu przed wyjazdem do Warszawy i powrotnym lotem do Toronto, kiedy się pakowałem, nagle rzekł: „Wiesz, w tamtym liście, który napisałeś, nie wszystko było tak jak podałeś”. Spojrzałem na niego i łagodnym głosem zapytałem „Tato, czy warto teraz do tego wracać?” I wtedy po raz pierwszy i ostatni w moim życiu, bo w rok później już nie żył, usłyszałem: „Masz rację!”.

Rozegrała się wtedy jeszcze jedna, bardzo ważna dla mnie scena. Zapytał „Gdy mieszkałeś w Berlinie, miałeś niemieckich przyjaciół, kolegów?”. Na chwilę zaniemówiłem, bo od razu skojarzyłem sobie, że przecież walczył z Niemcami, że zginęło tak wielu jego kolegów i tyle przez wojnę wycierpiał. Dla mnie, człowieka z pokolenia powojennego, w dodatku niemal pacyfisty, o co się także z ojcem przedtem ścierałem, zarzucając mu, że ma nawyki z wojska, Niemiec był po prostu człowiekiem. Tym bardziej, ten z mego pokolenia lub młodszy. Wiedziałem i pamiętałem, lecz czułem, że jest czas budowania pomostów, tym

bardziej, że po wprowadzeniu stanu wojennego, Niemcy tak znacznie Polakom pomagali - w Berlinie i w Polsce.

Postanowiłem mu powiedzieć prawdę - „Tak, miałem sporo kolegów i jednego przyjaciela”. A on rzekł: „To bardzo dobrze”.

*

W bardzo interesującej książce brytyjskich naukowców o płci mózgu, odkryłem, że mam kobiecy mózg i dowiedziałem się, że pokolenia powojenne, z roczników 40-tych, mają w sobie, jakby genetycznie, antywojenne echo po traumatycznych przeżyciach rodziców. Kiedy nadeszła fascynacja muzyką rockową, której ku memu zdziwieniu i radości zarazem, ojciec nie potępiał (tak jak moich długich włosów) i nawet znosił wysłuchiwanie w nocy listy przebojów Radia Luksemburg, te pacyfistyczne nastroje uległy we mnie wzmocnieniu, kumulując się w okresie wojny w Wietnamie. I nieważne teraz, na ile wtedy byłem młody i naiwny, pełen dobrych chęci, zarazem z rodzącym się buntem i wrywaniem ku konkretnemu działaniu PRZECIW. W każdym przejawie - od prób bycia za wszelką cenę przyzwoitym, poprzez demonstracyjne chodzenie co niedziela do kościoła, do nieśmiałego jeszcze poparcia marca 68, przypadkowego uczestnictwa w grudniu 70 i skumulowanego, otwartego buntu w sierpniu 80, gdy znalazłem się w Stoczni.

Byłem niemal całkowicie przekonany do słów angielskiego

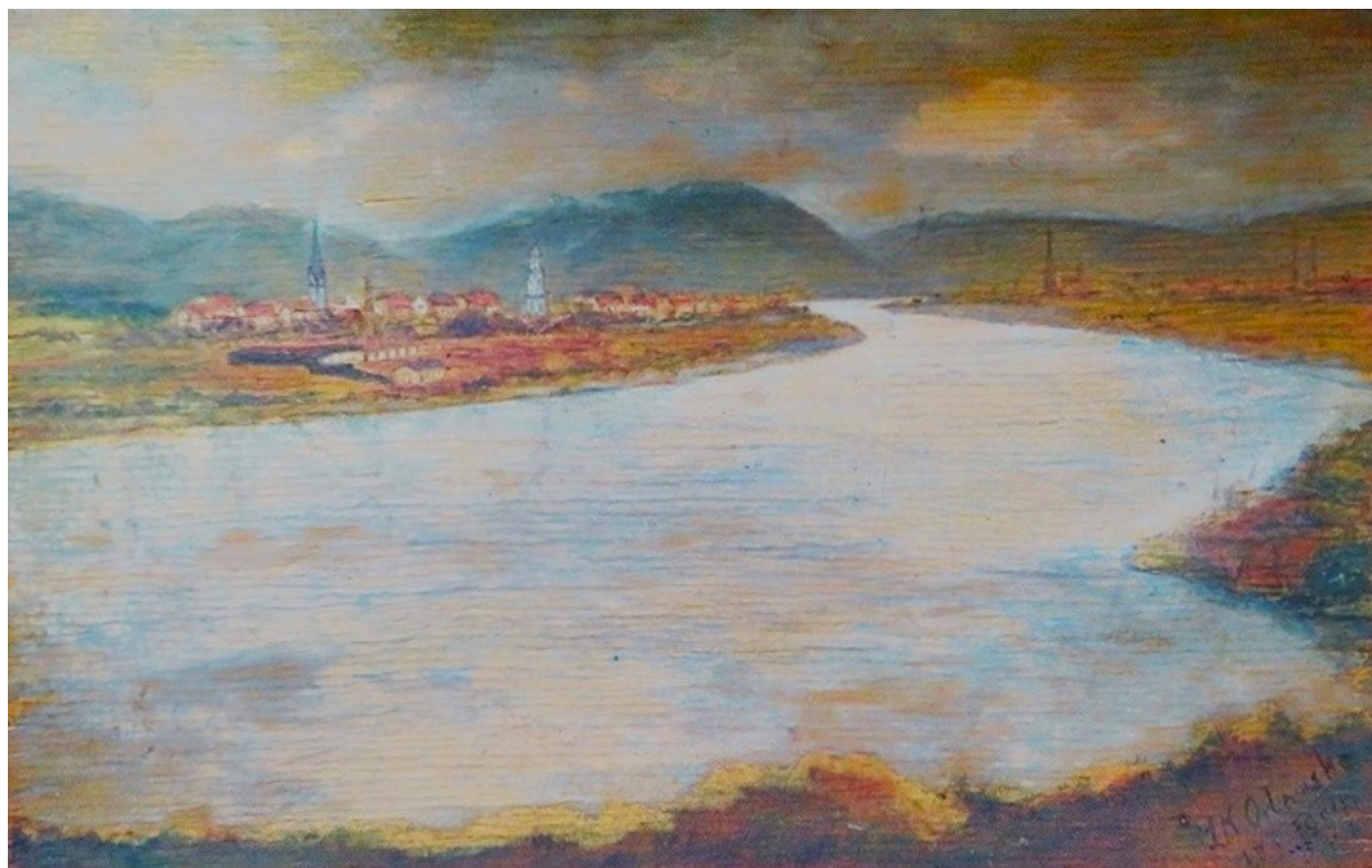
piosenkarza Donovan'a: „Wierzę w to, że jesteśmy pokoleniem błogosławionym”. Odczytywałem owe słowa jako sprzeciw wobec wojny i przemocy, włącznie z tym co się działo w PRL-u. Z każdym upływającym rokiem, mieszkając w Polsce, potem w Berlinie Zachodnim i w Kanadzie, dodatkowo przemieszkując w ostatnich latach w Argentynie, tkwiło we mnie do niedawna owo przekonanie o błogosławieństwie pokoleniowym, bo poza wojną na Bałkanach, traktowaną jako epizodyczny wybryk, „nasz świat” wydawał się spokojny i dążący ku porozumieniu.

Pierwsze zachwianie/zwątpienie wprowadził we mnie, w roku 1992, uwielbiany Leonard Cohen, przejmującym, doskonałym albumem „*The Future*”. Byłem wstrząśnięty jego wizją, poruszony i wręcz zirytowany, że wokół tak wszystko dobrze się toczy, a tu Leonard śpiewa: „Zwróć mi Mur Berliński, zwróć Stalina i św. Pawła, widzę, Bracie, że przyszłość jest mordercą”. I często powtarzane w refrenie, w sensie wręcz teologicznym, słowo - *repent* („żałuj za grzechy”)

W siedem lat później, leningradzki żul, Putin, przechwycił władzę, a trzy lata temu rozpętał krwawą wojnę na Ukrainie, niszcząc moje marzenie, że odejdę z tego świata bez wojny. Że jednak będę tym błogosławionym pokoleniem, optującym za Unią Europejską i światową współpracą. Tymczasem w ostatnim dziesięcioleciu wykwitły całe zastępy przygłupich drani o gangsterskiej mentalności. Zakwitli na zagonach demokracji!

Spragnieni nieograniczonej władzy, bezczelnie zakłamanymi manipulatorzy, w wielu miejscach przy poparciu religijnych fanatyków. To po to mój ojciec walczył przez sześć lat z nazizmem i faszyzmem, aby teraz powstawały karykaturalne odrosty? Po to brał udział w inwazji 81 lat temu, byśmy zastanawiali się teraz nad jej sensem? Po to poległy miliony ludzi w walce o wolność i demokrację, by kolejny raz powracać do punktu wyjścia? Czuję się tak, jakby mi odebrano coś nader cennego. Szyderczo spostponowano!

Chichot historii? Czy chichot pewnego rodzaju ludzi, którzy nie są w pełni ludźmi?



Panorama Quakenbrück namalowana przez mamę, nie wiem dokładnie, kiedy, bo data w dolnym, prawym rogu zamazana. Malowanie eliminowało stresy, których jej życie nie poskąpiło, fot. arch. rodzinne

*

Gdybym miał napisać kolejny list do ojca, napisałbym tak:

Kochany Tato!

Za parę dni będzie 81. rocznica decydującej inwazji na kontynent, w której brałeś udział. Wraz z mamą, wydawaliście mi się w sporej mierze nierealnymi postaciami z czasów Wielkiej Wojny. Przez wiele lat nie mogłem pojąć i odczuć co naprawdę przeżyliście, tym bardziej, że szczególnie Ty nie byłeś skłonny do zwierzeń. Dopiero upływ lat, odmienianych moimi doświadczeniami i przekraczaniem kolejnych progów dojrzałości, coraz bardziej odsłaniał Wasze postacie. Coraz więcej rozumiałem i znajdowałem węzłowe odniesienia, włącznie z wytłumaczeniami, a nawet usprawiedliwieniami, przebiegu Waszego życia. W tym także czasami powodów Twego picia.

Bo przede wszystkim oboje byliście przegranymi zwycięzcami tej wojny, już w momencie podjęcia decyzji powrotu do Polski, gdzie zasiedlił się komunizm, w sowieckim wydaniu. Być przegranym lub wygranym niesie klarowną sytuację, z którą można się nawet

pogodzić. Być przegranym zwycięzcą przynosi gorycz i poniżenie, których przez wiele lat w PRL doświadczaliście. Tym bardziej, że mieliście oboje moralne zasady. Choć byliście zarazem pozbawieni sztywności owych zasad, sztywności wpędzających ludzi w ekstremalne zachowania i oceny. To jakim jestem, co od Was nabyłem, co Wam zawdzięczam, czym w wielkim stopniu mnie nasyciliście, za to wszystko jestem Wam coraz bardziej wdzięczny.

Jako dzieciak nie rozumiałem Waszych traumatycznych przeżyć, do momentu, gdy w stalinowskich czasach stałem się podejrzany – bo mama w AK i Powstaniu, a Ty w polskim lotnictwie, w Anglii. Największą traumą była brutalna atmosfera w szkole oraz wyzywanie mnie od „Hitlera”, z powodu mego urodzenia się w Niemczech. Nie wiedziałem jak to wytłumaczyć, jak się wybronić z owego odium, którym mnie z upodobaniem obciążano, nawet za przyzwoleniem sporej liczby nauczycieli, głównie tych z ZMP. Bo mieli do czynienia z synem wroga klasowego, ze zgniłymi i podejrzаныmi inteligentami z przedwojennymi nawykami. Któregoś dnia, wreszcie zdołałem Wam to powiedzieć, choć ze wstydu zataiłem prześladowania. Po Waszej wizycie w szkole, inwektywy ustały. Lecz prześladowania i poczucie odmienności ciągnęło się za mną do końca szkoły podstawowej i początków liceum.

Zdołałem tak wiele z siebie zrzucić, otrząsnąć się pod koniec

liceum, a potem na studiach. Tak jak Wy, nie robiłem z siebie ofiary, choć przeżyłem parę mocnych stresów, podłamań i tkwień w niemal beznadziejnej sytuacji. I zdaje mi się, że tak jak Wy, zdołałem za każdym razem się odbudować, coś zyskać i być żywym, a nie tylko żyć.

Tobie Tato, też się powiodło, bo wreszcie doczekałeś się upadku komuny, bycia w pełni zwycięzcą. Zyskałeś uznanie i częściowo wewnętrzny spokój. Częściowo, bo niemal do końca nie zdołałeś się odciąć od alkoholu. Lecz od 1983 ułożyłeś sobie życie z inną, o wiele młodszą kobietą, którą poślubiłeś w dwa lata później. Gita, moja macocha, była przemiłą osobą. Porządkując rzeczy po niej odkryłem, że starannie przechowała nasze rodzinne pamiątki. Skłoniło mnie to do poszukiwań i dzięki Internetowi odnalazłem cały Twój szlak bojowy, od momentu ewakuacji z Krosna. Znalazłem nawet zdjęcia statków, i to z tamtych lat, którymi zmierzałeś z Rumunii do Libanu, potem Francji, a po jej upadku do Liverpool. I odnalazłem nazwę i zdjęcie statku, którym przy płynęliśmy do Gdańska.

Chciałbym Ci powiedzieć, że w ubiegłych latach, gdy za każdym razem po przyjeździe do Polski Gitę odwiedzałem, dość często i bez skrępowania wspominała, że mówiła jej, iż moja mama była największą miłością Twego życia.

Może to mnie czyni mocnym i charakternym, bo jestem

dzieckiem miłości. Z perspektywy mojej starości, do której już dotarłem, patrzę na Waszą miłość znaczoną tragicznym rysem. Przeżyć wojennych, potem lat życia w Polsce, z Twoim alkoholowym problemem i coraz większym rozjazdem wzajemnych oczekiwań i odkrywania, że na pewnych polach niezbyt do siebie pasowaliście. A w miarę upływu czasu, i kolejnych kieliszków, to się pogłębiało. Również między nami, włącznie z mocnym konfliktem, który spowodował piętnaście lat przerwy w naszych kontaktach. Nie tylko z powodu mego wyjazdu z Polski.

Pamiętam także inne Wasze opowieści, o tym jak po zakończeniu wojny zachłyszeliście się życiem, jak wspólnie z żołnierzami innych armii szaleliście w Niemczech i we Francji, a potem w Londynie.



Mama z ojcem na ulicy Merylebone w Londynie - 5 marzec, 1947, u schyłku okrutnej zimy 1946/1947, która omal nie pochłonęła mamy i mnie na statku zdążającym do Tilbury. Gdy w liceum zaprzyjaźniłem się z mamą, powiedziała mi, że na tym zdjęciu byli na „pod gazem”, po wyjściu ze spotkania z przyjaciółmi. Ale to już inne historie - zima i ich powojenne zachłystywanie się życiem. Młodym życiem, choć tak okrutnie przeorany, fot. arch. rodzinne

Byliście tak młodymi ludźmi, brutalnie i gwałtownie doświadczeni wojną, przyspieszonym dojrzewaniem, które w bardzo wielu przypadkach wcale nie jest wskazane ani pożądane. Ten epizod był stanowczo za krótki, nawet fakt niezmiernej ulgi i szczęścia, gdy odnaleźliście ocalałe swoje rodziny i wróciliście do Polski. Któregoś dnia powiedziałaś mi, że gdy przechodziłaś ze

statku, ścieżką pomiędzy płotami, co było pierwszymi krokami na polskiej ziemi, ktoś powiedział „Trzymaj” i podał Ci butelkę wódki. Widzę to dzisiaj jako przeklęty symbol.

Być może krótkie zachłyśnięcie się wolnym życiem, skłoniło Was do tego, aby sobie urządzić w Sopocie, w naszym późniejszym, przepięknie położonym mieszkaniu na skraju lasu, niemal rok poślubny beze mnie. Mieszkałem w tym czasie u dziadków w Warszawie i wiesz, to była także dobra lekcja. Pierwsza lekcja starszych ludzi. I lekcja ich ciepłej miłości, silny związek ocalony z zawieruchy dwóch wojen. Najważniejsze, że dziś już wiem, iż dojrzewanie w relacjach ojciec-syn przebiega w obie strony, co widzę po swoim synu. Trzeba dojrzeć do ojca, ale ojciec musi także dojrzeć do syna. Wtedy zaczyna się przyjaźń i wzajemne zrozumienie.



*

Franciszek Kasprzyk (12.06.1921 - 2.07.1995)

Stopień wojskowy: sierżant; Nr służbowy: 784879 R C Kasprzyk F. RFA

Szlak wojenny:

1939 - obrona Krosna, internowanie w Rumunii (obóz w Ramnicu Sarat), ucieczka do Bukaresztu, pobyt w Balcic (obecnie Bałaczik w Bułgarii). Statkiem do Bejrutu i Marsylii

1940 - Lyon. Lotnisko Bron w polskiej formacji lotniczej, po

upadku Francji do Liverpool jako mechanik w polskim dywizjonie 308 (Blackpool, Coventry)

1941 - Brygadzysta-mechanik w warsztatach dywizjonu 308. Coventry; roczna Szkoła Techniczna Silników Spalinowych przy zakładach Roll Royce'a w Derby.

1942 - powrót do 308. Lotnisko Northolt

1943 - 1946 -przeniesienie do nowo organizowanej polskiej jednostki lotniczej 411 RSU (*Repair and Salvage Unit* - Jednostka Naprawy i Ratownictwa), przeznaczonej do udziału w Inwazji. Czteromiesięczne szkolenie w Slough k/Londynu, przygotowanie do inwazji na kontynent w składzie 84 grupy. Inspektor wypadków lotniczych oraz d-ca samodzielnej sekcji technicznej.

17 lipca 1944 roku w grupie uderzeniowej na kontynent - zajmowanie i przygotowywanie lotnisk dla aliantów, kilkusobowa załoga z wyposażeniem (wielka ciężarówka z narzędziami, m.in. betoniarki, dźwigi samojezdne, itp.). Z Normandii przez Belgię i Niderlandię do Niemiec (lipiec 1944 - maj 1945).

Vice komendant miasteczka Quakenbrück w Niemczech (maj 1945 - grudzień 1946). Przeniesienie jednostki 411 RSU do

Anglii, demobilizacja - grudzień 1946

1947 - 18 maj powrót do Polski

Odznaczenia ojca: dwa razy Medal Lotniczy PSP Anglia, Odznaka Bojowa 308 Krakowskiego Dywizjonu Myśliwskiego, 1939/1945 Star, France and Germany Star, Defence Medal, War Medal - RAF Anglia, Croix des Combattants Volountaries - Francja, Medal za udział w wojnie obronnej 1939, Medal Zwycięstwa i Wolności, Krzyż czynu bojowego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, Krzyż Kampanii wrześniowej 1939 - nadany w Londynie, w sierpniu 1985 roku.